

ŚWIAT



RACJONALIZATORSTWO W WOJSKU



WAF

Jednostki inżynieryjne Wojska Polskiego popularyzują wśród żołnierzy i oficerów ruch racjonalizatorski. General Dywizji J. Bordziłowski wręczył niedawno dyplom czołowemu w Wojsku racjonalizatorowi, oficerowi J. Warnickiemu.

MUZYKA POLSKA W PARYŻU



Muller

W czasie trwania sesji ONZ w Paryżu, odbył się w sali Gaveau koncert muzyki polskiej z udziałem naszej znakomitej pianistki, Haliny Czerny-Stefańskiej. Wśród słuchaczy znajdowali się członkowie licznych delegacji na sesję ONZ.

SZPIEDZY AMERYKAŃSCY PRZED SĄDEM



Dnia 7 stycznia przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie odbył się proces szpiegów i dywersantów, nastanych do Polski przez wywiad amerykański: T. Głuchowskiego, W. Korwela, E. Falkusa, E. Długosza i R. Kozubskiego.

„PRECZ Z ANGLIKAMI!”



Patrioci sudańscy demonstrują na ulicach Chartumu przeciwko brytyjskiej okupacji, domagając się usunięcia wojsk okupacyjnych i połączenia Sudanu z Egiptem. Brytyjczycy zaczynają tu stosować terror, podobnie jak w Egipcie.

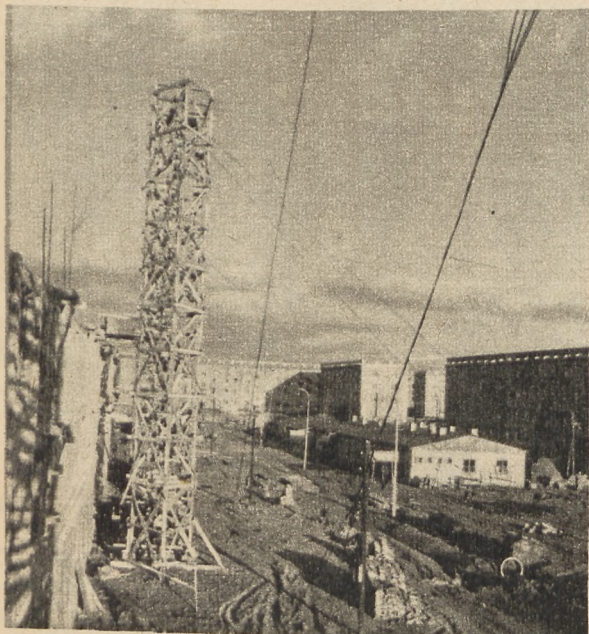
POWODŹ W JUTLANDII



Keystone

Po Włoszech i Francji, klęska powodzi dotknęła ostatnio Danię. Wylew rzek w Jutlandii sprawił, że ogromne obszary kraju znalazły się pod wodą. Na wyspie Mors wzburzone fale zalały miasto Nykobing, powodując ogromne szkody.

W NOWEJ HUCIE



CAF

W Nowej Hucie ruszył już pierwszy obiekt produkcyjny — warsztat konstrukcji stalowych. Budowniczowie miasta oddają do użytku coraz nowe domy.

KOBIETY BUDUJĄ OKRETY



CAF

Na stocznich polskich pracują również kobiety. Przewodząca spawaczka Irena Kiskowska ze stoczni gdańskiej pracuje przy budowie łodzi ratunkowych.

ZWIĘKSZAMY HODOWLĘ BYDŁA



CAF

Wypełniając uchwałę Rządu, PGR-y i spółdzielnie produkcyjne zwiększają hodowlę bydła. Jak widzimy dółka nie jest już tylko zajęciem kobiet.



PARTIA

STANISŁAW BRODZKI

Od Atlantyku do Wołgi rozciągało się imperium Hitlera. Pod okutymi butami Wehrmachtu leżały jedno po drugim państwa Europy. Tylko w jednym kraju opancerzone pięści armii hitlerowskiej natknęły się na mocny opór, od pierwszej chwili bohaterski, już w drugiej chwili skuteczny. Tylko pod Moskwą, na której zęby złamał nie jeden kandydat na władcę świata, niepokonane dotychczas hordy Trzeciej Rzeszy zostały najpierw wstrzymane, potem odrzucone.

Od tego co działo się pod Moskwą zależały losy Warszawy. Ale nie chciała o tym wiedzieć i nie chciała tego faktu uznać burżuazja polska we wszystkich politycznych wcieleniach. Modliła się o „zwycięstwo cywilizacji” — t. zn. hord Hitlera, a Polakom kazała cierpliwie czekać.

Z tego grzechu pierworodnego — nienawiści do ZSRR i do rewolucji — wyrastały zarówno program reakcji w czasie okupacji, jak i jej taktyka. Z tego brało się hasło „stania z bronią u nogi”, (by „nie pomagać Sowietom”) i stąd przyszła późniejsza zbrodnia decyzja powstania warszawskiego („by pochwylić władzę, zanim nadciągnie Czerwona Armia”).

Panowie w stolicy radzili, a oszukany naród zrywał się spontanicznie do walki, rozumiejąc, że tylko w ten sposób można przyspieszyć wyzwolenie. Rozglądali się ludzie i szukali siły, która by ich powiodła w bój, postawiła jasno cele walki, pokazała drogę do wolności. I wtedy właśnie, jak parafraza słynnych słów Lenina z roku siedemnastego, rozległ się głos: „Jest taka partia!”

Powstała w styczniu 1942 r. Nazywała się Polską Partią Robotniczą.

PPR była ogniwem wielkiego, ciągłego łańcucha, łączącego Pierwszy Proletariat z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą. Była ona częścią długiego procesu „zespалania klasy robotniczej z socjalizmem” — jak określał marksizm rolę partii robotniczej. Łączyła w swoim programie i swojej działalności walkę o wyzwolenie narodowe z walką o wyzwolenie społeczne, walkę o wolność dla narodu z walką o władzę dla mas ludowych pod wodzą klasy robotniczej. Łączyła je integralnie. Rozumieli bowiem PPR-owcy, że jedno jest nieod-

dzielne od drugiego: nie może istnieć naprawdę niepodległa Polska bez władzy ludowej i nie może lud wziąć władzy bez niepodległości.

Wyciągając wnioski z blisko siedemdziesięcioletniej historii polskiego ruchu robotniczego i oceniając prawidłowo sytuację międzynarodową — PPR od pierwszej chwili widziała w sojuszu z ZSRR konieczny warunek wyzwolenia Polski i istnienia Polski po wyzwoleniu. Sojusz nie koniunkturalny, lecz wynikający z historycznej zbieżności losów polskiej i rosyjskiej rewolucji, polskiej i rosyjskiej wolności.

PPR łączyła w sobie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Przeszłość — bo przejęła doświadczenia i tradycje wielu dziesięcioleci walki polskiej klasy robotniczej, bo trzonem jej byli komuniści — członkowie KPP, wypróbowani bojownicy o wolność i władzę dla ludu polskiego. Teraźniejszość — bo była to jedyna partia stojąca na czele walki narodo-wo-wyzwoleńczej, reprezentująca dążenia przytłaczającej większości narodu. Przyszłość — bo wysuwała konkretny i realny program zbudowania Polski bez kapitalistów i obszarników, bez ucisku narodowego i ciemnoty, Polski która by była ojczyzną dla milionowych mas robotników i chłopów. Na tym właśnie polegała jej siła: że odpowiadała najlepiej tej historycznej chwili, w której się narodziła.

Dobrze zrozumiał to wróg. I ten jawny, hitlerowski i ten ukryty, z „Delegatury” rządu londyńskiego, rzekomo „patriotyczny”, rzekomo „niepodległościowy”. Na wielu odcinkach mogli się wrogowie kłócić i zwalczać — choćby dlatego, że „Delegatura” była obojętnością anglosaskiej — ale na odcinku „komuny” — jedność panowała wzruszająca. Zarówno jedność „narodowa” wszystkich partii „londyńskich” — od WRN do NSZ — jak i jedność „Startu” z gestapowcem Spielkerem, czy jedność całej „Delegatury” z „amerykańskimi przyjaciółmi, którzy domagają się przyspieszenia walki przeciwko komunistom” (wypowiedź działacza „Delegatury”, cytowana na procesie „Startu”). I, jeśli by nie było nawet innych świadectw ogromnego echa, potężnego poparcia z jakim spotkała się PPR w masach ludowych polskich — wystarczy dla dowodu spojrzeć ile organizacji, funduszy, szpiclów, katów,

Dokończenie na str. 4



NOWOTKO, FINDER, FORNALSKA ROZPOCZYNAJĄ LISTĘ BOHATERÓW-MĘCZENNIKÓW, NA KTÓRĄ CODZIENNIE WRÓG WPISYWAŁ NAZWISKA..

Dokończenie ze str. 3

nasłanych zbirów, rutynowanych „dwójkarzy”, początkujących prowokatorów, starych policjantów i młodych faszystów — przeciwko ruchowi narodo-wo-wyzwoleńczemu rzucił w latach 1942 — 1944 „Londyn”.

* * *

Napróżno. Potężną falą wznosił się w kraju ruch oporu. Od mobilizujących hasła na murach, które zobaczyć można jeszcze gdzieś niegdzie na resztkach gruzów Warszawy, do akcji zbrojnych, od tysięcy egzemplarzy nielegalnych gazet do tysięcy wagonów wojskowych wysadzonych w powietrze. I do tysięcy ofiar. Nowotko, Finder, Fornalska rozpoczynają listę bohaterów-męczenników, na którą codziennie wróg wpisywał nowe nazwiska. Ale na miejsce jednego, który padł, przychodziły dziesiątki innych. Rosła partia i krzepła, zjednoczona wokół Bolesława Bierutą, który był współorganizatorem i członkiem władz naczelnych PPR, rósł autorytet partii w masach ludowych.

Kierując walką zbrojną, PPR organizowała razem szeroki front narodowy pod przewodnictwem klasy robotniczej. Z inicjatywy partii powstaje w noc sylwestrową 1944 r. Krajowa Rada Narodowa, grupująca oprócz PPR — przedstawicieli lewicowych socjalistów i ludowców oraz licznych organizacji społecznych. Do szeregów Armii Ludowej przemika coraz więcej członków Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej, rozczarowanych do polityki „stania z bronią u nogi”. Kraj pokrywa się siecią Rad Narodowych, załóżka przyszłej władzy ludowej. Próby Gomułki i jego grupy, zmierzające do rezygnacji z hegemonii klasy robotniczej, „dogadania się” z dywersyjnym tworem Delegatury — tzw. Centralnym Komitetem Ludowym — spalają na panewce dzięki twardemu stanowisku komunistycznego, kierowniczego trzonu partii z Bolesławem Bierutem na czele.

* * *

Gdy wyzwolony został pierwszy skrawek ziemi polskiej na Lubelszczyźnie — PPR od razu stanęła do organizowania nowej państwowości. Wolność przynosił żołnierz Stalina; wolność tę w demokrację przekuwał polski lud pracujący pod wodzą PPR. Komplikowały się zadania, niepomniernie rozsze-

rzał się front. Ci, którzy wczoraj wysadzali hitlerowskie pociągi — dziś odbudowywali fabryki; ci, którzy wczoraj palili kontyngenty hitlerowskie — dziś dzielili ziemię obszarniczą i walczyli o wysokie plony; burzyciele mostów naprawiali drogi, nielegalne kółka przeobraziły się w potężne masowe wiece.

Mówili neohitlerowscy publicyści i anglosascy specjaliści: Polacy nawet przez kilkadziesiąt lat nie zagospodarują Ziemi Zachodnich. Po paru latach ziemia ta była już zaludniona, produkowała tyle ile przed wojną, zakwitły stare piastowskie dzielnice nową polską kulturą.

Mówili fachowcy z Londynu i Waszyngtonu: Warszawa przez sto lat nie podniesie się z gruzów. Już po paru latach odbudowano to, co można było odbudować, naszkicowano plany nowych dzielnic, rozpoczęto wznoszenie starej, a jakże nowej stolicy.

Mówili sceptycy za granicą i w kraju: Plan Trzy-letni — to utopia. Nawet bogata Ameryka nie potrafi tyle dokonać w trzy zaledwie lata. A myśmy dokonali. Przed terminem. Z nadwyżką. Tak jak przed terminem ruszyły piece Magnitogorska, turbiny Dnieprostroju, kombinaty Kuzniecka. Tam nauczyliśmy się rewolucji i tam uczylimy się w nieznanym w dziejach tempie wznosić nowe, bogatsze życie.

Wiele było batalii. I każdą rozgrywały zwycięsko masy pod kierownictwem PPR. Walka z leśnymi bandami, walka z mikołajczykowską dywersją — każda na innym froncie, z innym przeciwnikiem, innym orężem. Rozgromione zostało prawicowo - nacjonalistyczne odchylenie, które śmiertelnym niebezpieczeństwem zaprzepaszczenia wszystkich zdobyczy wolności — zawisło nad partią i nad narodem. Te same siły — trzon kierowniczy PPR — które w czasie okupacji zdecydowanie odparły wszelkie skrzywienia i wypaczenia, te same siły pod przewodnictwem Bolesława Bierutą oczyściły partię od oplecionej i splecionej z imperialistyczną dywersją grupy odchyleńców. A gdy sojusznice siły lewicy w PPS rozprawiły się z prawicą we własnej partii — wtedy załamały się plany wroga, stawiającego na sojusz gomułkowszczyzny z WRN, wtedy powstały warunki dla zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego na platformie marksizmu-leninizmu.

Na Kongresie Zjednoczeniowym powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, jednocząca naj-

lepsze doświadczenia i nauki międzynarodowego ruchu robotniczego, a przede wszystkim WKP(ł) z najlepszymi tradycjami polskiego ruchu robotniczego, od „Proletariatu” poprzez SDKPił i KPP do PPR, od Waryńskiego do Bierutą. Powstała przodująca siła narodu — architekt Polski Socjalistycznej.

* * *

Kiedy idziesz pod górę, często łatwiej spojrzeć w tył, niż naprzód. Ale marksściści muszą umieć patrzeć naprzód, na szczyty. Za sobą mamy jedną trzecią sześciolatki; przed sobą — jeszcze cztery lata. W ciągu paru lat chcemy dokonać więcej, niż burżuazja polska w ciągu dziesięcioleci. Pomyślcie: kiedy czytacie ten numer „Świata”, gdzieś w Polsce uruchomiony został jakiś nowy zakład przemysłowy. A jeżeli nie dziś, to wczoraj albo jutro. Bo ponad 1000 wielkich i średnich obiektów przemysłowych, jakie budujemy w ciągu sześciu lat — to znaczy co dwa dni jedna fabryka, kombinat, huta, linia komunikacyjna, to znaczy, że w oczach rosną procenty produkcji, a wraz z nimi perspektywy socjalizmu.

Pamiętamy, że szczekaczki podżegaczy wojennych rozpylają żółć 24 godziny na dobę, że grupki płatnych zdrajców próbują uwiesić się koła historii i na gwałt ciągnąć je wstecz, że na amerykańskiej smyczy znowu maszeruje SS. Ale pamiętamy również, że kiedy dziesięć lat temu powstawała PPR, stosunek sił był niepomniernie korzystniejszy na rzecz imperialistów; a od tego czasu utracili połowę Europy, połowę Azji, trzęsie się w posadach ich władza w koloniach, wznosi się fala walki w ich własnych krajach.

* * *

Istotą programu partii marksistowsko-leninowskiej jest to, że jest realny i sprawdzalny. Jubileusz PPR dziś każdy Polak odczytać może na rusztowaniach MDM i Nowej Huty, Żerania i Wizowa, Gośczałkowic i Gorzowa — na ulicach miast polskich i wsi, na bilansach wszystkiego tego, co zostało dokonane. I dlatego właśnie dziesięciolecie PPR jest świętem całego narodu, który budując Polskę Socjalistyczną, sam siebie przekształca pod kierownictwem partii w naród socjalistyczny.

STANISŁAW BRODZKI



JÓZEF STALIN

DO NARODU JAPONSKIEGO

Agencja TASS ogłosiła następującą depeszę J. W. Stalina do naczelnego redaktora agencji „Kiodo”, Kiisi Iwamoto:

SZANOWNY Panie K. Iwamoto! Otrzymałem pańską depeszę z prośbą o przestanie noworocznego orędzia narodowi japońskiemu. Wśród działaczy radzieckich nie ma takiej tradycji, by premier obcego państwa zwracał się do narodu innego państwa ze swymi życzeniami. Jednakże głębokie współczucie narodów Związku Radzieckiego dla narodu japońskiego, na który spadły nieszczęścia w związku z obcą okupacją, zmusza mnie do zrobienia wyjątku od reguły i do zadośćuczynienia pańskiej prośbie.

Proszę przekazać narodowi japońskiemu, że życzę mu wolności i szczęścia, że życzę mu całkowitego powodzenia w jego mężnej walce o niezawisłość swej ojczyzny.

Narody Związku Radzieckiego same w przeszłości doświadczyły okropności obcej okupacji, w której brali również udział imperialiści japońscy. Toteż rozumieją one w pełni cierpienia narodu japońskiego, głęboko współczują mu i wierzą, że zdobędzie odrodzenie i niezawisłość swej ojczyzny, podobnie jak zdobyły to w swoim czasie narody Związku Radzieckiego.

Życzę robotnikom japońskim wyzwolenia od bezrobocia i niskiej płacy roboczej, zniesienia wysokich cen towarów powszechnego użytku i powodzenia w walce o zachowanie pokoju.

Życzę chłopom japońskim wyzwolenia od bezrolności i małorolności, zniesienia wysokich podatków i powodzenia w walce o zachowanie pokoju.

Życzę całemu narodowi japońskiemu i jego inteligencji całkowitego zwycięstwa sił demokratycznych Japonii, ożywienia i rozwoju życia ekonomicznego kraju, rozkwitu kultury narodowej, nauki, sztuki oraz powodzenia w walce o zachowanie pokoju.

Z poważaniem
(—) J. STALIN

31 grudnia 1951 r.



TOKIO: MŁODZIEŻ JAPONSKA DEMONSTRUJE PRZECIW AMERYKAŃSKIEJ OKUPACJI.



Pod nazwą policji, amerykańscy okupanci organizują pierwsze kadry regularnej armii japońskiej.



Policjanci terroryzują uczestników demonstracji przeciw wysyłce żołnierzy japońskich na Koreę.

LUDNOSC ZMASAKROWANEJ HIROSZIMY WZNOSI MODŁY O ZACHOWANIE POKOJU.



WARSZTATEM NASZYM JEST ZIEMIA

Tekst i zdjęcia: TADEUSZ SARNECKI



HRYNKÓW. TRAKTORZYSTA CZARNY ŚCIGAŁ Z POLA OSTATNIE PŁUGI. JEGO ZETOR BĘDZIE MOĞŁ IŚĆ WRESZCIE DO PRZEGLĄDU.

OD kilku dni w atmosferze biura Ekspozytury POM-ów w Rzeszowie wyczuwało się nerwowe oczekiwanie. Jeszcze 25 listopada zameldowano, że plan roczny jest już wykonany i teraz nurtowało wszystkich jedno tylko pytanie: czy Rzeszowskie, jak i lat ubiegłych, znajdzie się na pierwszym miejscu. Każda poczta mogła przynieść odpowiedź, toteż sekretarka dyrektora Nowaka, segregując listy, zawsze na sam wierzch kładła korespondencję z Centralnego Zarządu Państwowych Ośrodków Maszynowych. Dyr. Nowak powtarzał jej jednak niezmiennie:

— W tej sprawie nie ma jeszcze wiadomości.

„Ta sprawa“ wyjaśniła się w pierwszych dniach grudnia. Nad listem pochylały się trzy głowy — u dyrektora był bowiem jeszcze Jarczyk, kierownik wydziału politycznego i nieodzowna sekretarka. Czy szybko biegły po literach. Jest! „Wykonanie rocznego planu... w niecałe 11 miesięcy wskazuje na ofiarność... w wykonaniu zadań stojących przed POM-ami w drugim roku Planu Sześcioletniego. Jestem przekonany — pisał dyrektor Centrali — iż będąc w tej chwili pierwszą ekspozyturą, która wykonała plan roczny...”

Sekretarka wyszła na główną salę biura i widząc zwrócone ku sobie twarze kolegów wyrzekła jedno tylko słowo: — Pierwsi!

I zasłużenie. Pracowali z całym oddaniem, stale podnosili swoją wiedzę polityczną i fachową, starali się oddziaływać na spółdzielnie produkcyjne oraz mało i średniorolnych chłopów. Należy się im ta radość z pierwszeństwa. Jest ona potężnym bodźcem do pracy w nowym roku.

Ziemia za Cieszanowem leży płasko, jakby ją kto wyprasował wiel-

kim żelazkiem. Nie ma tu wzgórz, zaskakujących widoków, niespodzianek w ukształtowaniu okolicy. Jedyną granicą dla wzroku jest horyzont, ale na drogach widzimy wszystko jak na dłoni: zewsząd jadą traktory, które ściągają do POM-u w Hrynkowie wieloskibowe pługi, kultywatory, wyorywacze do buraków i kartofli, młockarnie.

Na obszernym placu pośród zabudowań ruch był jak na jarmarku. Opaleni traktorzyści zeskakiwali z Ursusów i Zetorów, strzäsali pył z waciaków i co żywo biegli do jadalni ogrzać się, zjeść coś gorącego. Niektórzy ściągali już sprzęt od wielu dni i znać było na nich zmęczenie. Mimo to uśmiechali się szeroko.

Spadł śnieg, od wschodu dał ostry wiatr, ziemię ściał mróz.

Przybyłych witał na placu zastępca kierownika politycznego, Potaczała, chłop z Debickiego, roślv. zahartowany. Przechodził wzrokiem od traktora do traktora, bacznie obserwował wszystkie maszyny, sprawdzał stan ich zużycia, chciał się zorientować, ile wymagać będą remontu.

— Hej, tam — krzyknął nagle — uwozej, cepis o ziemię i urwies lemiesie!

W czas ostrzeżony traktorzysta, Roman Czarny, zwolnił nieco biegu, pojechał ostrożniej.

Potaczała mazurzy i jakby z pewnym nawet zadowoleniem używa swej rodzinnej gwary.

— Jezdzi kuźdyn iak diabeł, stale trzeba ostrzegać. Gdy coś się uszkodzi, winnego nima, ale i tak go zawsze zdybiewa...

Potaczała narzeka tak tylko z przyzwyczajenia, bo widzimy, że traktorzyści obchodzą się z motorami dobrane, jak z czymś żywym, nakrywają je derkami i zostawiają na chodzie, aby nie zamrzły. Z młockarniami jadą ostrożnie, pomalutku.

Na jakiś czas plac opustoszał, ale pora obiadu minęła szybko i nie zdążyliśmy jeszcze obejrzeć kombajnu, gdy armia traktorzystów wypadła już z jadalni i znów napełniła plac gwarem. Podjeżdżali pod warsztaty remontowe i kuźnię. Tam kierownik warsztatów zwieziony sprzęt obejrzał w obecności mechaników. Decydował szybko.

— To do garażu, to natychmiast do naprawy! Już teraz — wyjaśniał — przeprowadzamy remonty maszyn, nawet żniwnych, aby nie zostawiać sobie niczego na ostatek.

Przyszli kowal, odkręcił uszkodzone lemiesze i zabrał je do kuźni.

W warsztatach gwar był jeszcze większy, piszczwały piły, zgrzytały pilniki. Pracowano z jakąś zaciekleścią, widać to było dobrze.

— Gotowi już jesteście — stwierdził kierownik warsztatów — do obsłużenia większej liczby spółdzielni niż dotychczas. Dla nas — dodał nie bez cienia dumy w głosie — nowy rok zaczął się jeszcze w starym.

W kuźni odezwały się nagle młoty, biły w kowadło silnie i sprawnie. Potaczała ruszył w tamtym kierunku. Wszedł do hali.

Palenisko pod okapem tryskało silnym ogniem, oślepiło wprost oczy. Kowal Jurkiewicz ujął w szczypce do białości rozpalone żelastwo i rzucił je swym pomocnikom na kowadło. Natychmiast zaczęli je obrabiać, kując nowe lemiesze. Widząc Potaczałę pokazał mu jak poszczerbiono pługi w głębokiej orce. Zagadnął: — Pamiętacie, mówiono, że gdzie przejdzie traktor, nic tam nie wyrośnie, a teraz nadążyć nie można z robotą, ludzie nie chcą już używać do orki zaprzęgów konnych.

Ta uwaga ożywiła pracujących tu traktorzystów. Byli wśród nich zupełnie młodzi, siedemnastoletni zaledwie chłopcy, ale starsi niejedno zapisane mieli w pamięci. Odkręcając i

dokręcając kluczami śruby na kołach, rozmawiali ze sobą nie przerywając pracy. Jeden z nich, krepny, silny, mówił: — Nie tylko traktory przyjęto z niechęcią. Gdy pierwszy raz przywiozłem na żniwa sнопowiązałkę, myślałem, że mnie pobiją. Krzyczeli, że tak działa jak gradobicie, a teraz co? — Każdy chciałby, aby żąć mu zboże sнопowiązałką.

— Na mojej spółdzielni też nie chcieli sнопowiązałki, do żniw wyszli kosiarze i kobiety z sierpami. Próbowali dotrzymać mi kroku, ale pod wieczór zrezygnowali. Przyszli popatrzeć. Jadę naokoło łąnu i co kilka kroków, bęc, leży sноп, ładnie zawiązany sznurkiem. Aż oniemieli. Później zaczęli te sнопы ustawiać w mende i tak skończyła się ta niechęć. Śmiechu tylko warte!

— Jak wyjedziemy z kombajnami, to dopiero dziw ich zbierze — dorzucił ktoś.

Potaczała śmiał się całą twarzą. I jego wspomnienia te ożywiły. Zwrócił się wprost do mnie: — Było kłopotu, bo było, a teros pragną maszyn ci nawet co gospodarza jeszcze masz. Dajemy je małorolnym i średniakom, gdy tylko som wolne. Powolutku zmienia się wieś nasa!

Do kuźni wszedł jeszcze jeden człowiek. Był to traktorzysta Roman Czarny. Okazało się, że poszukiwał Potaczałę, szło mu bowiem o nocleg, gdyż wrócił z bazy na stałe.

Poszliśmy do biura, zebrało się tam kilkunastu traktorzystów, zakurzonych, pobrudzonych smarami. Wśród nich stał kierownik wydziału politycznego, Roman Jędrzejec i wypytawał, jakie są ostatnie wiadomości z baz w spółdzielniach. Opowiadali mu z ożywieniem. Wszyscy zakończyli już pracę i ze spółdzielniami rozstawali się z żalem. Przebywali na nich od żniw do teraz; przeszło pół roku, to szmat czasu, aby się przyzwyczaić i rozstawać z żalem.



Brygada Franciszka Krasowskiego skończyła orkę jeszcze na kilka tygodni przed terminem. Jaki przeorano areal? Ok. tysiąca ha. Taki raport raduje wszystkich.



W górzystej ziemi leskiej wzięto pod pług grunty, które leżały jeszcze odłogiem. Miejscowi chłopcy małorolni będą mieli gdzie wysiać swoje zboże.



Raporty z wykonania planu mówią, że tempo nie osłabło. Nowak i Jarczyk mogą być spokojni.



Coraz więcej kobiet kończy kursy traktorzystów. Pierwsza praktyczna próba jazdy w POM-ie Nr. 4.



Jan Maćkowski, kowal POM-u w Sanoku, cieszy się, że żniwiarka dobrze zniósła ciężką pracę.

Jędrzejec pocieszał ich: — Wróćcie tam już na wiosnę!

Potaczała wydał odpowiednie dyspozycje i biuro opustoszało. Gdzieś w sieni grzmiały jeszcze hałaśliwe głosy, rozlegało się trzaskanie drzwiami. Traktorzyści szli jak żywioł.

Jędrzejec, poważny, o skupionej twarzy blondyn, przeglądał przywiezioną przez nich korespondencję.

— Na przyszły rok szykuje się nam więcej pracy, dobrze, że już jesteście gotowi. Moglibyśmy zaczynać choćby dziś! I chwała traktorzystów, piszą, że dzięki nim wcześniej ukończyli wszystkie roboty.

Wyszliśmy przed gmach. Plac zapelniony był traktorami i sprzętem zwiezionym tu z baz. A z kuźni dobiegał miarowy odgłos młotów. O tej porze w całym kraju POM-y—motory przemian na wsi — biły zgodnym rytmem.

Dyrektor Nowak zapytany wprost, czemu przypisać to, że okręg rzeszowski po raz już trzeci wyprzedza inne ekspozytury POM-ów, nieco się zakłopotał.

— Sam myślałem — rzekł wreszcie — jakie znaleźć wytłumaczenie tego faktu. Początki mieliśmy bardzo ciężkie. Pierwszych traktorzystów zaczęliśmy szkolić w budynkach bez okien, w przejmującym zimnie, ale wytrwaaliśmy, bo bez traktorzystów nie byłoby POM-ów, a bez nich nie mogłyby istnieć spółdzielnie.

Do rozmowy wtrącił się Zbigniew Jarczyk, zastępca dyrektora do spraw politycznych.

— Nasi traktorzyści są synami chłopów i to wszyscy, bez wyjątku. Rozumieli, czego wieś potrzebuje i bez przesady byli najprawdziwszymi pionierami. Niektórzy z nich przebyli szlak Lenino-Berlin, znali motory i im to zawdzięczamy pierwsze sukcesy w przełamywaniu oporu wsi do maszynowej uprawy roli. Łamali przesady,

musieli przekonywać własnych ojców. Ze byli pierwsi w całym kraju, to może tylko zbieg szczęśliwych okoliczności, ale obecnie jest tak, jak czytamy w piśmie naczelnego dyrektora Centralnego Zarządu: „Jestem przekonany, iż... dolożycie wszelkich starań, aby POM-y wasze dalej przodowały”. Nasz zespół stara się o to z całą świadomością. Znamie zresztą tych naszych traktorzystów.

— Nie znaczy to jednak — przerwał dyrektor Nowak — iż nie popełniamy błędów. Zapomnieliśmy, że warsztatem naszym jest przede wszystkim ziemia, a najważniejszym naszym zadaniem pomoc w uprawie gleby, walka o największe plony. Obok traktorzysty stanie teraz na wsi nasz pomocnik agronom. Z agronomów składać się będzie drugi szereg naszej tyraliery postępu w rolnictwie, przechodzimy bowiem stopniowo do nowoczesnej gospodarki wielopolowej z planowymi płodozmianami. Jest to zagadnienie trudne, toteż najlepiej wyrażę swą myśl, jeśli powiem krótko, że ucymy teraz spółdzielców najważniejszych zagadnień agrotechniki i agrobiologii. Od nich wiedza ta przejdzie na całą wieś polską. Dobierzemy się do wnętrza gleby, przekształcać będziemy gatunki uprawnych roślin, walczyć będziemy bowiem o największą wydajność plonów. Zadanie trudne i obliczone na lata, ale i w tej dziedzinie starać się będziemy o pierwszeństwo.

— Ano, życzymy powodzenia!

Sekretarka kilka już razy zaglądała przez drzwi, wreszcie zdobyła się na odwagę i oświadczyła: — Agronomowie już czekają.

Trudno, wychodzimy. Mijając świetlicę zerknęliśmy okiem do wnętrza. Zapełniał ją tłum poważnych, skupionych ludzi. Nowak i Jarczyk zamknęli za sobą drzwi.

Rozpoczęła się pierwsza narada. Wydano bitwę o plony.

Hala remontowa POM-u w Przemyślu należy do największych. Zur, wykwalifikowany tokarz, z braku gotowych, sam wyrabia wymienne części do traktorów.





Czołgi brytyjskie „dzielnie” szturmują gliniane lepianki, z których wypędzono egipskich mieszkańców. Droga strategiczna, poprowadzona przez bry-

tyjskich okupantów w strefie Kanału Sueskiego i nazwana „Aleją Pegaza”, wybudowana została z pogwałceniem elementarnych praw ludności



Z dumą patrzy na swe dzieło generał brytyjskich wojsk spadochronowych K. T. Darling (z lewej). Jak sprawnie zburzono domostwa tysięcy Egipcjan!

ZBRODNICZY PEGAZ

O ŚWICIE pewnego dnia ubiegłego miesiąca, ruszyły do szturmów oddziały Królewskich Saperów, wspomagane przez dzielnych wojaków z 4-tego batalionu Królewskich Wojsk Pancernych i jeden batalion 16 Brygady Królewskich Wojsk Spadochronowych. Polem bitwy były spokojne wsie i miasteczka w strefie Kanału Sueskiego. Brytyjscy okupanci postanowili wybudować tu dla swych wojsk drogę strategiczną, łączącą ważne dla Brytyjczyków obiekty. Kto by się tam przy tym przejmował taką błahostką, że na trasie drogi znajdują się domy, zamieszkałe przez ludność...

Z dnia na dzień wyrzucono Egipcjan z domów i przystąpiono do burzenia zabudowań. Nie zostały się ubogie osiedla egipskie przed nowoczesną brytyjską techniką. Roboty przy budowie tej drogi, której Brytyjczycy nadali nazwę „Aleja Pegaza”, przebiegają pomyślnie (dla okupantów).

W dziejach kultury ludzkiej Pegaz — skrzydlaty koń — był zawsze symbolem natchnienia. W historii imperialistycznej zbrodni przybrał Pegaz postać czołgu miażdżącego domy, w których mieszka spokojna ludność...



Egipskiego gubernatora nie pytano o zdanie. Po prostu pewnego ranka poinformowano go, że wojska brytyjskie przystępują do wypędzania ludności



Dynamit torował drogę brytyjskim budowniczym „Alej Pegaza”. Czyż nie tak wyglądały ulice Warszawy w czasie roboty hitlerowskich „pegazów”

Karabin maszynowy strzeże budowniczych „Alej Pegaza” przed gniewem ludności, której domy wala się w gruzy. I ten widok pamiętamy z czasów oku-



pacji, kiedy to hitlerowcy osłaniali w ten sposób burzenie Warszawy i łapanie. Czy nad Nilem czy nad Wisłą — faszyzm pozostanie faszyzmem



Przodujący w zakładach im. Stalina zespół Pilarskiej.



Jak dodatek nadzwyczajny z radosną nowiną — wybiega na walce ostatni metr surówki bawełnianej.

OSTATNI METR

Zdjęcia: M. SZARFHARC

SZARA, bawełniana „surówka“, mięsisty „kamgarn“, jodełkowa „sześćdziesiątka“ wypełniają wielkimi belami magazyny łódzkich fabryk włókienniczych. To już produkcja roku 1952, choć utkana jeszcze w roku 1951. Grudniowym porankiem rozpoczął się dla łódzkich włóknarzy trzeci rok planu 6-letniego.

Ostatnie dni listopada przynosiły wciąż nowe meldunki:

„Dwudziestego siódmego wykonano plan w Łódzkich Zakładach Włókien Sztucznych“. To znaczy, że zakłady te wyprodukują jeszcze „o miesiąc więcej“ — jeśli się można tak wyrazić — surowca do wyrobu tkanin przemysłowych.

„Trzydziestego zakończyły rok zakłady dziewiarskie im. Emilii Plater i zakłady przemysłu wełnianego im. gen. Świerczewskiego“.

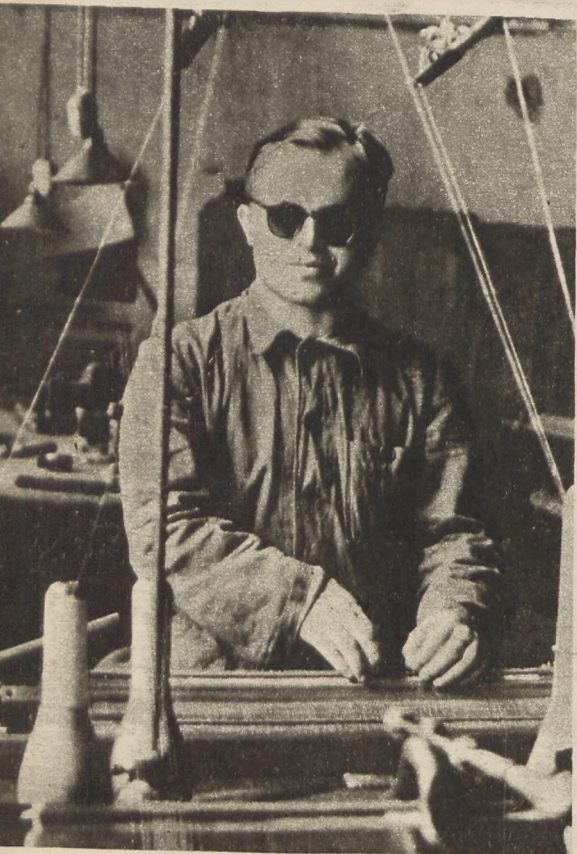
O dwadzieścia sześć dni więcej skarpetek i pończoch, trykotów i „jegierów“, „trzydziestek“, „sześćdziesiątek“ i „setek“...

A potem już nieledwie z godziny na godzinę: ZPW im. Ossowskiego, ZPB im. Róży Luksemburg, ZPB im. Okrzei i ZPB im. Dzierżyńskiego. Nie ustępując hutnikom i górnikom Śląska włóknarze łódzcy wykonali przedterminowo roczny plan produkcyjny, o miesiąc wcześniej rozpoczęli trzeci rok sześciolatki.



Zakłady im. Okrzei rozpoczynają trzeci rok Planu.

Niewidomy przodownik pracy — Wierzbicki.



Łódzkie zakłady imienia Szymańskiego otrzymały nagrodę Polskiego Komitetu Obróńców Pokoju.





SIÓDMY POWOJENNY STYCZEŃ STOLICY POLSKI

MICHAŁ BRZESKI

KOLUMNY pędzonych w pośpiechu wygnańców niejednokrotnie przemykały wązami, których ściany stanowiły płonące mury. Groźne wrzaski hitlerowskich konwojentów, grzmot walących się ruin, otepienie wskutek dni przebytych w ogniu pocisków, bomb, min powietrznych...

Dopiero na błoniach podwarszawskich, kiedy przystanęły na chwilę kolumny, sprawiane do dalszego marszu — na Pruszków, dopiero wtedy niejeden z opuszczających miasto obejrzał się.

W tym ostatnim — trwożliwym nieraz spojrzeniu, każdy z wygnańców zabierał obraz miasta. Zabierał obraz tej Warszawy, o której myślał, że traci na zawsze. Wśród nich wielu było takich, którzy w swych węzełkach, tobołkach i paczuszkach, tę Warszawę zabrali w miniaturowym skrócie. Dla jednych była nim fotografia rodzinna, dla innych przedmiot jakiś, dla jeszcze innych rękopis pracy naukowej, literackiej — dorobek całego życia.

Oto, co pisze o tym jeden z naukowców polskich, który znalazł się wówczas w szeregach wygnańców, pędzony ze stolicy na zachód:

„Podczas powstania warszawskiego w sierpniu 1944 roku zdołałem zabrać rękopis z podpalonego domu. W drodze do pruszkowskiego obozu odebrał mi go oficer niemiecki, zrewidowawszy walizkę. — Praca naukowa? To już niepotrzebne — krzyknął — nie ma już polskiej kultury. Es gibt keine polnische Kultur mehr. — I rzucił rękopis do rynsztoka. Zarzykowałem i podniosłem go. W ten sposób praca się uratowała“.

Ta krótka relacja polskiego naukowca zamyka jeszcze jeden bilans strat ginącej wówczas Warszawy. Oprócz bowiem siedemdziesięciu kilku procent doszczętnie zniszczonych budynków, urządzeń publicznych, zakładów miejskich, obliczonych na około 6 miliardów przedwojennych złotych — płomienie i zagłady pochłonięły dorobek pisarski, naukowy i artystyczny.

Dopiero pełny obraz zdruzgotanego wraz z jego bezcenną zawartością miasta, dopiero bilans pełni strat pozwala uświadomić nam sobie, jak odważną, jak nacechowaną warszawskim porywem była de-

cyzja Rady Ministrów, powzięta 1 lutego 1945 roku w domu przy ul. Śnieżnej na Pradze, na pierwszym w stolicy posiedzeniu tej Rady z udziałem Prezydenta KRN, Bolesława Bieruta, decyzja o tym, że Warszawa pozostaje nadal stolicą Państwa.

Dopiero ten obraz, a także cofnięcie się wstecz do tych dni grozy, do dni ostatecznej, zdawałoby się zagłady miasta — pozwala uświadomić sobie, że niełatwa była droga do tego, by przerzucić przez Wisłę nowe cztery mosty, by odbudować mieszkania dla kilkuset tysięcy osób.

Dlatego też warto — w każdą rocznicę wyzwolenia Warszawy, wyzwolenia dokonanego dzięki potężnemu, druzgocącemu uderzeniu wojsk Armii Radzieckiej i Wojska Polskiego — przypomnieć sobie, co przyniosły powojenne styczenie dla Warszawy.

Kiedy w 1946 roku odbywała się w styczniu I Sesja Naczelnej Rady Odbudowy Warszawy, mieliśmy już za sobą szmat roboty. Dzięki braterskiej pomocy Związku Radzieckiego miasto zaczęło żyć. W lewobrzeżnej Warszawie, w około 40 tysiącach odremontowanych izb, zamieszkało około 190 tys. ludności. W Warszawie prawdopodobnie stosunkowo mało uszkodzonej — w około 50 tys. izb mieściło się prawie 190 tys. osób.

Mieliśmy światło, gaz, wodę i komunikację. Elekrownia włączyła w tym czasie 55 tys. odbiorców, a jej wydajność osiągnęła przeszło 50% wydajności przedwojennej. Wodociąg i kanalizacja przyłączyły w tym rocznym okresie 4198 posesji, gazownia miała 5780 odbiorców. Na 11 liniach tramwajowych kursowało 37 wozów motorowych i 47 przyczep. Czynna już była jedna, pierwsza w historii stolicy linia trolleybusowa, otwarta 5 stycznia 1946 roku.

W porównaniu do obecnych osiągnięć dane te wydają się niewielkie. Jeżeli jednak przypomnimy sobie, jak to w 1945 roku jeździło się na „łebka“ furką, ciężarówką lub — co za luksus! — jakąś przypadkową osobówką, jeżeli przypomnimy sobie, że codzienne marsze do pracy, np. z Żoliborza do śródmieścia, trzeba było odbywać ścieżkami wydeptanymi wśród gruzów zalegających jezdnie, a przypadkowe posiłki spożywać w prowizorycznych jadło-

dajniach urządzonych często w bramie lub... w tramwaju — jeżeli chociażby tylko to wspomnimy — bilans owego stycznia 1946 roku będzie imponujący.

Te osiągnięcia były możliwe dzięki temu, że cała ludność pomagała przy oczyszczaniu głównych arterii komunikacyjnych, że żołnierze polscy i radzieccy usunęli z miasta przeszło 2 miliony pocisków, min i granatów, pomagając jednocześnie przy zabezpieczeniu łączności, budując w 8 dni most wysokowodny.

Już wtedy poczęło się realizować — dziś tak powszechne hasło — „Cały naród buduje swoją stolicę“ — poczęły napływać pierwsze dary, że wspomnimy chociażby dar mieszkańców Częstochowy, którzy ofiarowali wówczas stolicy dwa wagony łopat, tak potrzebnych do usuwania gruzów.

Jeżeli w roku 1946, w pierwszą rocznicę wyzwolenia Warszawy, wyszło się na spacer po odradzającym się mieście, można było zaobserwować stopniowy powrót do życia bądź to poszczególnych domów, bądź to fragmentów ulic, lub też części placów.

Dzisiejszy spacer jakże jest różny! Dziś, jeżeli pójdziesz Nowym Światem, czy Muranowem, Alejami, czy Mirowem, odkryjesz na każdym kroku nową Warszawę. Dziś, jeżeli chciałbyś choćby w przybliżeniu odtworzyć sobie aktualny obraz tej nowej Warszawy, musiałbyś dobrze popracować — nie dzień, nie tydzień, ale znacznie dłużej. Nie ma bowiem dosłownie w Warszawie ulicy, gdzie nie powstałyby nowe gmachy czy domy mieszkalne.

Dwadzieścia osiedli mieszkaniowych: Praga I i II, Grochów, Ochota, Rakowiec, Żoliborz, Stare i Nowe Miasto, Krakowskie Przedmieście, Mariensztat — to te mniejsze. A co powiedzieć o 15-tysięcznym Muranowie, o 10-tysięcznym Mokotowie czy Młynowie, Mirowie, czy Kole? A co powiedzieć o nowym, pięknym śródmieściu, o Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej?

Pięć głównych arterii komunikacyjnych ułatwia normalny rytm życia w mieście. Z Trasą W-Z tak

Bokodezono na str. 22

„PROFESJA PANI WARREN“

ST. W. BALICKI

JEST to najlepsza z moich sztuk; mrozi mi krew w żyłach. Ach, kiedy to pisał, byłem doprawdy odważny!... Tak w jednym z prywatnych listów G. B. Shaw oceniał swą „Profesję Pani Warren“, mając już w dramatycznym dorobku i „Szczygli zaulek“, i „Candide“, i „Ucznia diabła“, i kilka innych. „Profesja Pani Warren“ przypomniana w tej chwili przez Teatr Współczesny w Warszawie, pójdzie na pewno przez kilka miesięcy, a historia naszego teatru zanotuje jako wybitne wydarzenie wielką kreację aktorską Ireny Eichlerówny (w roli tytułowej). A że ta kreacja ułatwia nam — jak się to mówi — odczytanie na nowo tej sztuki Shawa i jasno stawia problem demaskowania przez niego i oskarżania całego ustroju kapitalistycznego, zatrzymujemy swą uwagę przy tym przedstawieniu.

Shaw nienawidził świata kapitalistycznego. Gdy, mając lat 27 (a urodził się w r. 1856 jako syn poważanej rodzinie mieszczańskiej), przeczytał Marksa — powiedział: „Od tej godziny stałem się człowiekiem, który ma coś do roboty na świecie“. Ale zgodnie z teorią fabianistów, do których przynależał, sądził, że będzie można zreformować społeczeństwo bez zdecydowanej walki z klasą kapitalistyczną, bez objęcia władzy przez robotników. Słabość ruchu robotniczego w Anglii była również jedną z przyczyn niedoceniań przez Shawa potęgi i przeznaczenia klasy robotniczej. Dopiero po wielu latach zachwyci go pierwsze państwo socjalistyczne na świecie, Związek Radziecki.

Na razie, a są to lata dziewięćdziesiąte ub. stulecia, z pasją szydzi z „szanowanych cnót“ burżuazji; oskarża tych, co się tuczą na nędzy, jak „muchy na nieczystościach“, i jako argument w walce politycznej rzuca, dobrane z naszych scen znany, bo najczęściej teraz grywany „Szczygli zaulek“. Ohydny wyzysk biedoty proletariackiej przez kamieniczników, opływających w dostojęstwa społeczne, jest mu dobrze znany. Przez kilkanaście lat był przecież kasjerem w biurze pośrednika nieruchomości, a już w dzieciństwie napatrzył się biedy i zła dublińskich czynszówek, bo niania potajemnie go tam zabierała, gdy chciała pogwarzyć ze znajomkami lub po prostu, popić.

„Szczygli zaulek“ po dwóch przedstawieniach został zdjęty z afisza. Ukończona w r. 1893 „Profesja Pani Warren“ w ogóle nie mogła ukazać się w teatrach Wielkiej Brytanii i zakaz cenzury obowiązywał aż do roku 1924! Grywano ją tylko po prywatnych scenkach. Gdy w r. 1905 jeden z nowojorskich teatrów przygotował tę sztukę, policja w dzień premiery wtargnęła do teatru, wszystkich wykonawców, wraz z reżyserem, aresztowała i skierowała do prokuratora. Groźną więc dla anglosaskiej burżuazji, dla przemysłu wielkokapitalistycznego musiała być ta twórczość Bernarda Shawa.

Profesję pani Warren jest prowadzenie w kilku stolicach Europy — intrygantów domów publicznych. Jej dobrze zarabiającym współnikiem — sir Crofts, dzentelmen, ziemianin, arystokrata. Wśród aprobujących tę profesję wielbicieli pani Warren jest i artysta Pread i pastor Gardner, zresztą jej były kochanek. Pani Warren kształci córkę, Wiwię, w najlepszych kolegiach, ukrywając przed nią aktualne źródło dochodów. Gdy Wiwia dowie się z jakich kapitałów korzysta, zrywa z matką.

Już Boy Żeleński w latach międzywojennych ostro widział, że — „rzecz

prosta, profesję pani Warren trzeba brać symbolicznie, czy syntetycznie. Brana dosłownie, byłaby może zdarzeniem zbyt odosobnionym... Ale przetłumaczmy młodą Wiwię na córkę jakiegoś właściciela fabryki lub kopalni, tuczącego się wyzyskiem, śmiertelnością i krzywdą swoich robotników; wyobraźmy ją sobie nagle uświadomioną społecznie i przejętą wstrętem do ojcowskiego rzemiosła, a uzyskamy sytuację, która może się zdarzyć co dzień... To co się wydawało w sztuce Shawa szczególnie odważne — ów przemysł pani Warren — było, przeciwnie, przezorną asekuracją autora. Zerwanie córki z matką, właścicielką domów publicznych akceptuje widz bez szemrania; wyrzeczenie się dóbr statków jakiegoś ojca, właściciela fabryki, wydałoby się może niewiarygodną egzaltacją. Instynkt teatralny kazał Shawowi wziąć symbol o ile jaskrawy o tyle niezawodny“.

Większość widzów i recenzentów zdaje sobie już dziś sprawę z tego, że Shawowi bynajmniej nie chodziło tylko o problem prostytucji. Sporo jednak jest jeszcze takich, którzy — podobnie jak Boy i jemu współcześni — skłonni są darzyć sympatią Wiwię jako dziewczynę „dzielną i uczciwą“. Czynią to wbrew wymowie tekstu sztuki, która dziś szczególnie wyraźnie się rysuje.

Shaw był zawsze pełen wewnętrznych sprzeczności, które pokrywał paradoksami. Dokumentem tego jest też postać Wiwii. Była ona — zdaniem postępowej publicystyki angielskiej — w zamiarach Shawa, krytyką teorii życiowych fabianizmu, „karykaturą racjonalizmu“. Śledźcie dokładnie ideał życiowy Wiwii: egoizm, robienie pieniędzy, życie bez miłości, powieść detektywistyczna, oderwanie się od społeczeństwa i zakłamanie. Może Shaw miał dla Wiwii jakieś odruchy sympatii, nam — gdy ją dobrze poznamy — trudno będzie je w sobie odnaleźć. Tak też widzi Wiwię, jak wspomnieliśmy, reżyser, tak ją sugeruje ujęcie aktorskie.

Dzieje się tak również poprzez bardzo ciekawą odkrywcą interpretację — reżyserską i aktorską — postaci pani Warren.

Irena Eichlerówna za punkt wyjściowy koncepcji roli wzięła pochodzenie socjalne Warren. Shaw, by dobitnie podkreślić, że nie idzie mu tylko o zagadnienie prostytucji, ale właśnie o oskarżenie całego ustroju, który łamie i deprawuje ludzi — uczynił bohaterką swej sztuki dziewczynę ze środowiska robotniczego. Dla ratowania się przed nędzą poszła drogą sprzedawania siebie. Aż doszła do szanowanego w burżuazyjnym środowisku stanowiska właścicielki przedsiębiorstw, kapitalistki. Była to — jak chce paradoks Shawa — jej forma buntu, walki głodnych o byt. Jej proceder, dodaje zresztą Shaw, niczym się nie różni od moralności wielu t. zw. legalnych małżeństw arystokratycznej i kupieckiej Anglii.

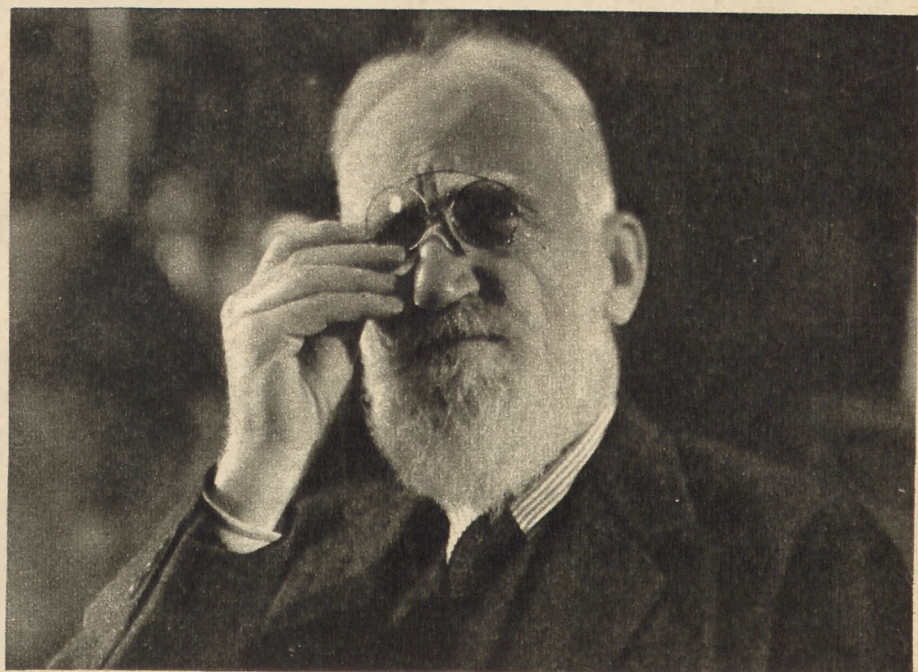
Najczęściej aktorki czynią z pani Warren zakłamaną kokotę o pozorach drobnomieszczańskiej damy, która demaskuje się dopiero w starciu z córką w akcie drugim. Eichlerówna niewątpliwie słusznie (twierdząc to wbrew wielu opiniom) od razu wyraziście sugeruje swe proste pochodzenie i pierwotny wulgarny styl bycia.

Bogactwem roli Eichlerówna wypełnia wiele niekonsekwencji Shawa w konstrukcji sztuki, daje jej wyrazistą kompozycję, zgodną z intencją i myślą autora.

Jak tu nie życzyć — przy Nowym Roku — wszystkim klasykom tak odkrywczym kreacji aktorskich.



IRENA EICHLERÓWNA JAKO PANI WARREN.



G. B. SHAW (Fot. z r. 1937).

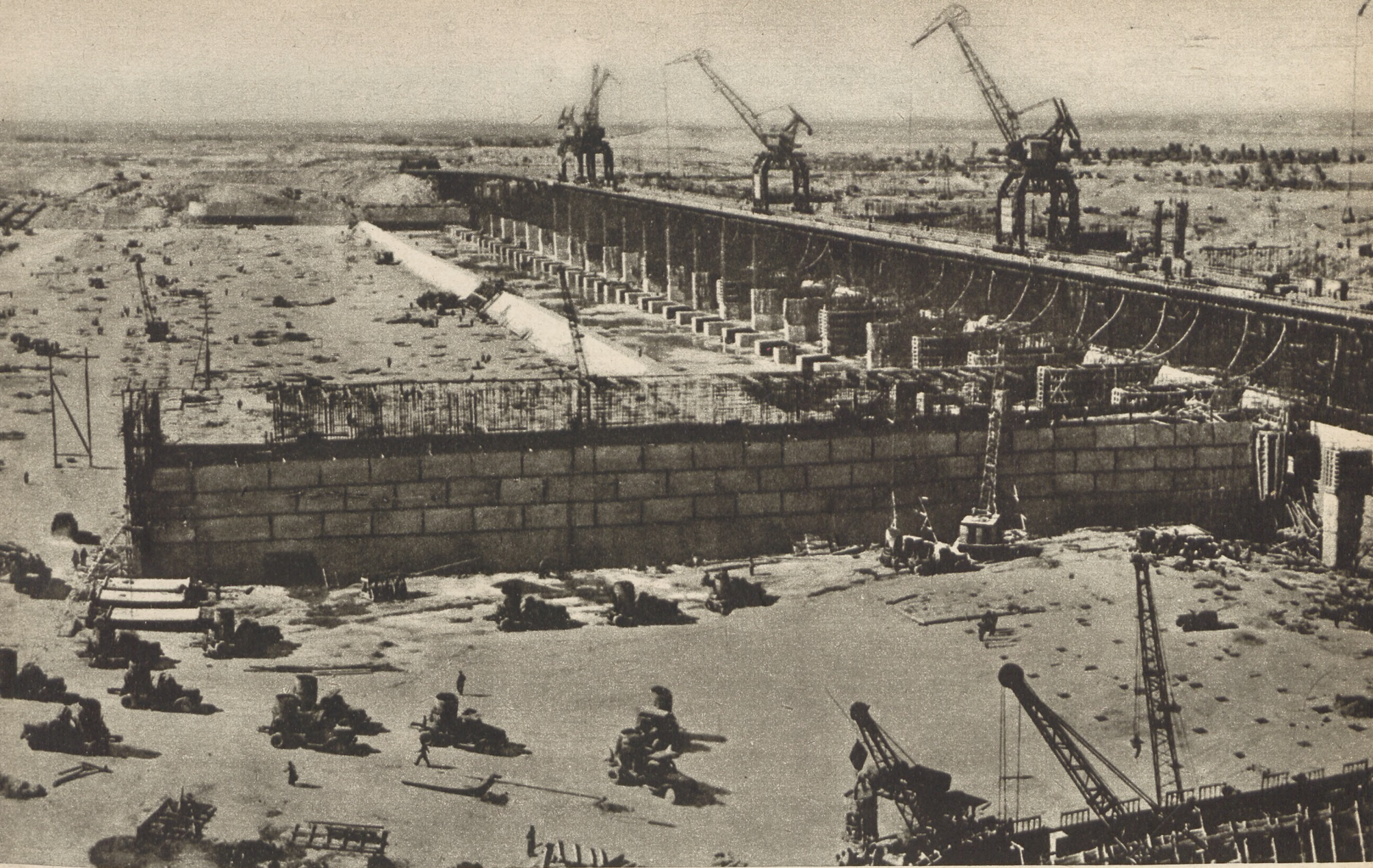


Scena z 3 aktu „Profesji Pani Warren“. Od lewej: M. Melina (Pread), Cz. Wołłejko (Frank), I. Eichlerówna (Warren), A. Mikołajewski (Sir Crofts), H. Kossobudzka (Wiwia), L. Tatarski (Gardner).



DZIEŁO ROKU 1951



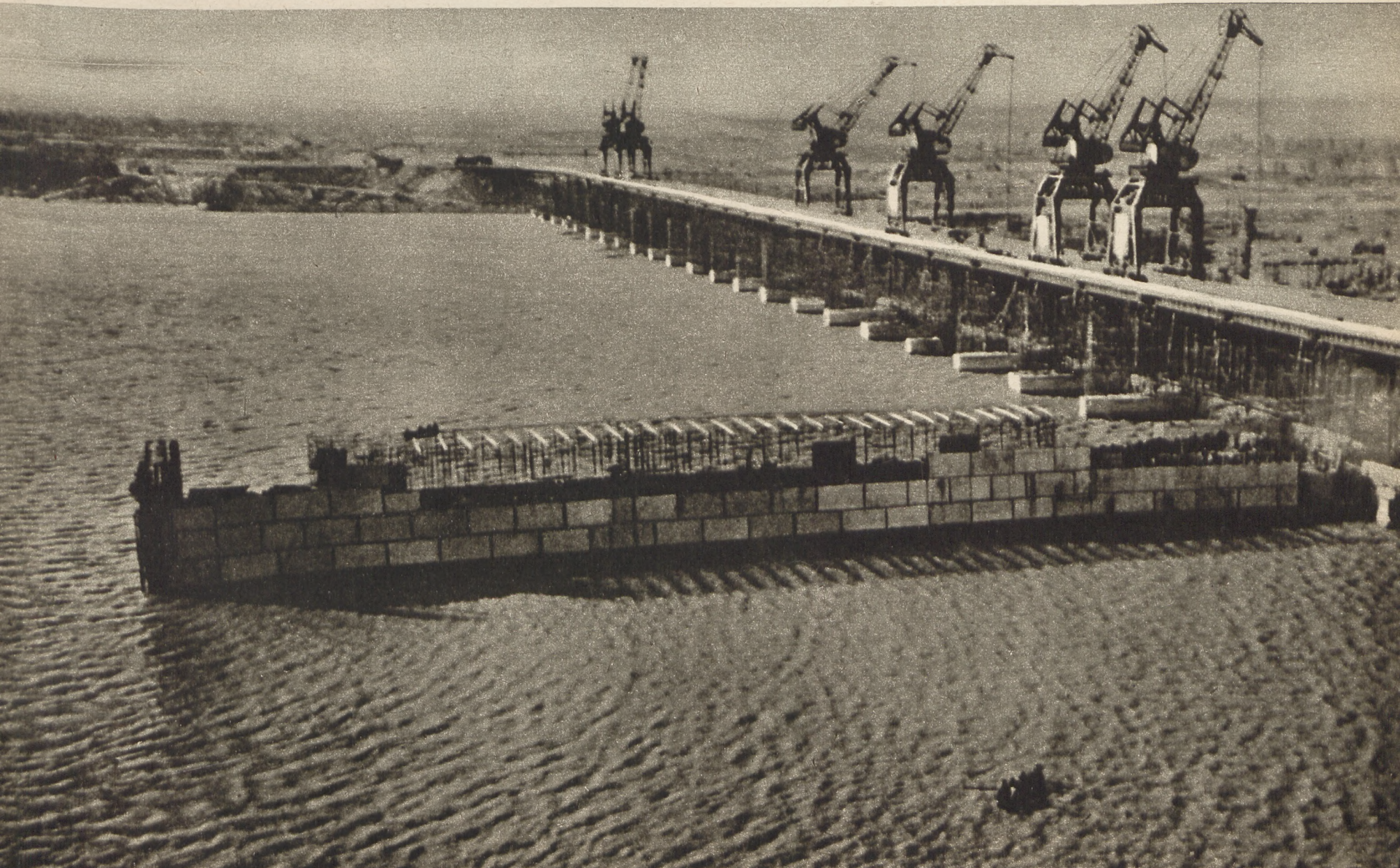


OŚWIECIE 22 września ubiegłego roku wszystkie mapy fizyczne Związku Radzieckiego przestały być dokładne: rzeka Don popłynęła na odcinku hydrowęzła Cymłańskiego nowym, sztucznym korytem, pod ogromną, trzynastokilometrową zaporą. Pierwszy etap budowy kanału Wołga — Don został pomyślnie zakończony.

Tak więc rok 1951 przyniósł pierwszy widomy dowód ogromu wielkich budowli komunizmu: Don, jedna z największych rzek europejskich, popłynął drogą wyty-

czoną przez człowieka radzieckiego. Ponad 100.000 ton kamienia i żwiru przegrodziło odwieczne koryto rzeki. Wody Donu runęły w kierunku morza, którego zarys kreślą jeszcze w tej chwili potężne koparki i „pociski wodne” — w stronę morza Cymłańskiego.

Nasze zdjęcia, reprodukowane za miesięcznikiem „Sowietskij Sojuz”, przedstawiają przełomowy moment w życiu wielkiej rzeki: na górnym widzimy ostatnie prace w sztucznym korycie Donu, poniżej — wodę rzeki Don na jej nowej drodze.



Pożegnanie z

FERNANDEM GARIMAU

OPOWIADANIE

(3)

Carmasse siedział na spiętrzonych sztabach żelaznych. Bił brawo razem z innymi i wznosił okrzyki. Gdy poczuł szum w uszach, a serce zaczęło rozrywać jego skronie, powlókł się do domu. Zjadł skromny obiad, odpoczął chwilę patrząc na ciemność wieczoru za oknem, poczem udał się do „kafelki” naprzeciwko, gdzie zbierali się jego znajomi i koledzy. Szybko złożyła się partia domina. Grali w małym pokoiku przeznaczonym przez gospodarza dla stałych bywalców. Carmasse wyjął kilka dwufrankowych monet, które, jak zwykle, spoczywały w kieszeni „luzem”. Do woreczka nie sięgał. Grali tamto, a zresztą szczęście mu dopisywało. „Kafelka” punktualnie o północy została zamknięta: strajk uchwalono. Jednak w bocznej salce gra toczyła się jeszcze z pół godziny. Wreszcie kamraci rozeszli się. Na pustej ulicy rozbrzmiewały słowa pożegnania i kroki oddalających się w różnych kierunkach, cichnące zwolna. Carmasse poszedł do domu. Jego żona Katarzyna jeszcze nie spała.

— Była tu Honorata — powiedziała. — Nie zostawiłaś mi pieniędzy. Jutro sklepy mają być zamknięte. Pożyczę ci od niej sto franków na mięso. Obiecałam wieczorem oddać.

Carmasse rzucił parę zdań na temat „wyrzucania pieniędzy garściami”. Jeszcze w trakcie tej krótkiej perory stwierdził, że woreczka, w którym trzymał pieniądze, nie ma na zwykłym miejscu, to znaczy w kieszeni spodni. Umilkł i szukał dalej, w marynarce. Katarzyna patrzyła na niego, co go jednocześnie peszyło i złościło. Wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni i podał żonie banknot stufrankowy. Kobieta wyszła. Carmasse jeszcze raz przeszukał wszystkie kieszenie, lecz woreczka nie znalazł. Zaklął półgłosem. W woreczku było trzysta franków i klucze od mieszkania. Począł sobie przypominać, gdzie i w jakich okolicznościach wyjmował go ubiegłego dnia. W „kafelce” doń nie sięgał. W fabryce — przypomniał sobie — pożyczyl kulawemu Frankowi pięćdziesiąt franków.

„Zostawiłem portmonetkę razem z ręcznikiem i kombinezonem w szafie” — pocieszał się.

— Pójdę się jeszcze dowiedzieć, co robimy jutro — powiedział do żony, która właśnie powróciła.

Teraz Katarzyna gderała.

— Zamiast iść spać, włóczysz się po nocy. Nie mogłeś się dowiedzieć przez cały dzień? Nocny włóczęga... Wstydzilibyś się stary, w twoim wieku spacerować nocami...

Carmasse ruszył żwawo. Pełen był niespokojnych myśli, tak, że nawet zmęczenia nie czuł.

„Tego mi jeszcze potrzeba. Grosze zarabiam, a co zarobię, to zgubię”.

Główna brama była zamknięta. Obszedł tedy parkan, minął przecznicę i wszedł przez uchyloną furtkę na małe podwórko, gdzie stał nędzny domek-rudera należący do emerytowanego kolejarza, na pół zdzieciniałego już starca. Minął obejście i dotarł do ogrodzenia fabrycznego, które tutaj zamiast z cegieł zbudowane było z wielkich białoszarych głazów. Jeden z tych kamieni popchnięty usuwał się i w ten sposób można było nieoficjalnie dostać się na teren fabryczny. Przejście to istniało zaledwie parę dni. Carmasse był jednym z tych, którzy je odnaleźli.

Szedł przez pusty podwórzec. Dyżurka była otwarta. Zdziwił się. Klucze od narzędziowni wisiały na swoim miejscu. Jednak inne haki były puste: klucze ktoś wzięł... Nie zastanawiał się długo nad tym dziwnym faktem. Miał swoje kłopoty.

Woreczek znalazł dopiero po dość uciążliwym poszukiwaniu w umywalni, koło spluwaczki, przy wejściu.

„Jak oni sprzątają” — pomyślał jednocześnie z zadowoleniem i irytacją.

Teraz już miał dużo czasu. Zamknął za sobą drzwi i stanął w miejscu. Nad fabryką rozpościerała się noc. Ciemny, pochmurny nieboskłon dotykał niemal tak samo ciemnej ziemi. Miasto tonęło we mgle, która o tej godzinie była jeszcze gęsta. Ogniki latarni, słabe i nieporadne, ginęły w mroku, nie przewyższając go. Jednak mimo ciemności Carmasse dostrzegł poprzez wielkie szklane szyby okien maszynowni coś, co go zaintrygowało. Wyglądało to jak ruchomy odbłysek odległego światła. Carmasse, nie zdając sobie sprawy, co to może być, począł iść w tamtym kierunku. Minął elektryczne wózki stojące pod płaskim, długim i szerokim dachem. Przeszedł dla skrócenia drogi poprzez zwoje kabla leżące w układanych skrajach, jeden na drugim. Trawnikiem pokrytą starą, półmartwą już trawą doszedł do okien hali, osadzonych nisko, prawie sięgających ziemi. Skupił uwagę, oczami wtargnął w głąb hali, dotykając szyby nosem, dłońmi przytkniętymi do skroni, kolanami i pleśnią.

Ktoś świecił mocnym, przenośnym światłem, jakby samochodowym reflektorem. Światło było jedno, ludzi kilku — gdyż rozmawiali. Do uszu Carmasse'a dochodziły tylko pojedyn-

cze, gdy dostrzegł, że jeden z trzech odchodzących ubrany jest w mundur oficera policji.

Odczekał dłuższą chwilę i pobiegł tak szybko, jak tylko pozwoliło mu na to serce i starcze nogi.

Feliks nie zastał w domu. Podążył tedy do lokalu komórki partyjnej. Po drodze spotkał Duvin'a. Opowiedział, co widział przed chwilą. Z Duvin'em udał się do Feliksa, który tymczasem wrócił i wysłuchał staro-go uważnie.

— Idź spać, Carmasse — powiedział. — Dziękuję ci.

I w tej chwili samochody policyjne poczęły rwać na strzępy nocną ciszę. Carmasse, idąc do domu, tulił się do murów kamienic, gdy mijały go pudła aut. W lokalu partii i w związku ludzie rzucili się do okien: samochody pędziły dalej, nie zatrzymując się, napełniając ulice i miasto hukiem motorów i wyciem sygnaliów. Feliks i kilku towarzyszy zamknęli się w pokoju sekretarza. Klócili się dość długo.

— Biorę na swoją odpowiedzialność tę decyzję — wołał Feliks.

Nie było środków komunikacji. Wszystkie samochody akurat rozesłano, a przez telefon nie należało o tym mówić. Wyższe władze partyj-



cze słowa. Nie mógł zrozumieć ani o czym mówią, ani kto mówi.

Począł iść w kierunku wejścia do hali. Podobnie zachowywali się ludzie wewnątrz. Carmasse stanął we wgłębieniu muru, w pobliżu bramy. Sam nie wiedział, dlaczego właściwie się kryje, dlaczego wprost nie wchodzi do hali i nie pyta:

— Coście za jedni? Czego tu chcecie? Czego włóczycie się po nocy?

Nieznajomi powoli, nie śpiesząc się, podchodzili ku wyjściu. Co chwila przystawali, zatrzymywali się przy stanowiskach i cichymi głosami coś mówili. Oświetlali maszyny i już wykonane motory i części. Carmasse widział w zasięgu światła latarki ich ręce dotykające eksponatów i frezarek. Wreszcie, po długiej, przeprowadzonej szepem naradzie, śpiesznym krokiem, już nie zatrzymując się, obcy ruszyli ku wyjściu. Przed halą przystanęli. Zawarli wrota, a jeden z nich mozolił się nad zamkiem. By mu ułatwić, trzymający latarkę skierował nań światło. Carmasse omal nie krzyknął ze zdziwienia. W pochylonym mężczyźnie poznał urzędnika wydziału socjalnego z dyrekcji, o którym mówiono, że pracuje dla policji. Zdumienie jego spotęgowało się jesz-

ne zostały powiadomione o wszystkim dopiero wtedy, gdy ludzie cicho i ostrożnie, gęsiego, szli już w stronę fabryki. Na chodnikach stały auta. Pod murami spacerowali policjanci. Było ich tylu, że bez ich wiedzy nikt nie mógł wejść na teren fabryczny, chyba że... konspiracyjnym wejściem...

Duvin otoczony kilkusobową grupą ludzi nawiązał krótki dialog z sierżantem policji.

— Czego tu chcecie? He?

— Pilnujemy fabryki. Co wam do tego? Idźcie spać.

Policja starała się nie drażnić robotników. Tu, na przedmieściu, w nocy, nie należało zadzierać z ludźmi, którym nigdy nie wiadomo, co strzeli do głowy.

— Pilnujcie? A właśnie, że my pilnujemy. Tak będzie lepiej.

I Duvin śmiało skierował się w stronę bramy. Zabrzmiały policyjne gwizdki. Policjanci skupili się, tarasując Duvinowi i jego ludziom drogę.

— Rozejść się. Bo wszystkich każe aresztować! — wołał sierżant.

W tym samym czasie, nieoficjalnym bocznym wejściem robotnicy wchodzili na teren fabryki. Przeciśkali się przez otwór i bezszelestnie, bez sło-

wa, bez głośniejszego oddechu szli w stronę fabrycznych budynków, jeden za drugim, jeden za drugim...

W końcu, po wymianie ostrych epitetów, Duvin wycofał się i podążył za tamtymi.

O godzinie piątej rano fabryka była obsadzona...

4.

Z rue du Louvre*) wyjeżdżamy o wczesnej porze, gdy normalnie Paryż śpi najgłębszym snem. Na godzinę — czterdzieści pięć minut przed ruszeniem pierwszych pociągów metra. Miasto jest bezładne i ulice martwe. Wszystko jest w należytym porządku: lśnią latarnie, numery na domach, na skrzyżowaniach ulic ze śmieszna, niepotrzebna regularnością, zmieniają się światła automatów: czerwone, żółte, zielone, zielone, żółte, czerwone. Nikt nie idzie, nikt nie jedzie, jednak automaty działają. Zegary wieżowe biją godziny. Innych odgłosów nie słychać. Muzyka już ucichła w lokalach. Wymarłe miasto, jak makieta na wystawie, trwa, choć nikt nań nie patrzy, lub prawie nikt...

— Słyszałeś, co się dzieje na Porte de Clichy? — pyta Pierre, przerywając swoje rozmyślenia.

Nasza „cytryna” robi chyba sto dwadzieścia. Płyniemy w powietrzu. Do siedziby CGT, gdzie mieszczą się centralne władze strajkowe, jest spory kawał drogi.

— Przecież tobie i mnie opowiadano o tym równocześnie — mówię nieco rozdrażniony.

Pierre zawsze chciałby być pierwszy. I nie przebiera w środkach. Razem dowiadujemy się o jednym, a on usiłuje odgrywać przede mną rolę informatora.

Przyjeżdżamy.

— Strajk generalny — mówimy jeden przez drugiego.

Referujemy wiadomości otrzymane w „l'Humanité”, która ma kontakt z terenem. Powstający dzień we Francji nie będzie zwykłym dniem. Strajk generalny. Dervelle na wielkiej mapie Francji umieszcza chorągiewki. Obok wisi mapa Paryża, upstrzona już podobnymi chorągiewkami.

— Co się dzieje na Porte de Clichy?

— Miałem ciekawą wizytę — mówi ze śmiechem Dervelle. — Dziennikarz John Stewess — Shopper and Shopper. Prosił o informacje...

— Agencje nieczynne — krzyknął Pierre.

— Otóż to. Prosił, żebym potwierdził, że strajk wybuchł tylko dla wywalczenia podwyżki płac... Nie byliście na Porte de Clichy?

— Nie.

— Już jedziecie.

Dervelle podpisuje mandat dla szofera. Znow „cytryna” pędzi jak szalona pustymi ulicami.

— Pamiętasz tę kobietę? — mówię do Pierre'a, z którym zwykle jeździmy razem po reportażach dla partyjnej i związkowej prasy. — To było w Brest — ciągnę nie czekając, aż Pierre się odezwie. — Taka chuda prasowaczka z miejskiej pralni. Poznaliśmy ją przez jej córkę, pokojówkę w hotelu. Przyszła do niej. „Straciliśmy wszyscy pięć lat. Głodowaliśmy, ale walczyliśmy. I co jest lepsze, niech pan powie? Siedzieć i płakać, czekać bezradnie na wyrok losu, czy żyć śmiało i śmiało żądać swojego?”

W kamieniołomach na południu robotnicy ryją w kamieniu słowa: „Pókoj — Stalin”.

*) Przy ulicy du Louvre No. 37 mieści się redakcja i administracja „l'Humanité”, centralnego organu Komunistycznej Partii Francji.

ciąg dalszy nastąpi

STOWARZYSZENIE Książkowych Moli otrzymało noworoczny podarek, o jakim marzą chyba wszystkie mole książkowe: 19 smacznie i dowcipnie ilustrowanych tomików „Biblioteki Szpilek”. Udostępniając dzisiejszemu czytelnikowi utwory wielu zapomnianych i od dawna nie wznawianych pisarzy-realistów i satyryków XIX i XX wieku — „Szpilek” ujawniają postępowe tradycje, do których autorzy współcześni świadomie nawiązują.

Zacznijmy od autorów naszych, swojskich, przeważnie lekceważonych za życia i po śmierci przemierzanych przez oficjalnych historyków literatury. Do nich należy **Antoni Gorecki** (tomik pt. „Diabeł i zboże”), rówieśnik i przyjaciel Mickiewicza. Autor niezwykle dowcipnych i mądrych bajek i epigramatów atakował ostro zakłamanie, obłudę kleru i władców ówczesnego świata.

„Ramoty i ramotki” **Augusta Wilkońskiego** były w pierwszej połowie ubiegłego stulecia czerwoną płachtą na tępego byka szlacheckich. Dowcip rasowego satyryka i popularnego przez jakiś czas publicyści nie oszczędził żadnej z ówczesnych „świętości narodowych”. Toteż kilkakrotnie więziony i w końcu wysiedlony z Warszawy „wesolek” Au-Wi, umiera w zapomnieniu przeżywszy zaledwie lat 47.

Michał Bałucki w tomiku pt. „Pan burmistrz z Pipidówki” okazuje się znacznie cięższym realistą i mistrzem satyry, niż w znanych i po dziś dzień oklaskiwanych komediach. Powieść o panu burmistrzu, nosząca podtytuł: „Z życia autonomicznego Galicji” mówi uważnemu czytelnikowi więcej o czasie i społeczeństwie, niż jeden gruby tom pisany przez uczzonego dziejopisa.

„Satyry i fraszki” **Rodocia** były solą (attycką) w oku świętoszków i wsteczników. Rodoc (Mikołaj Biernacki) uważany był przez ówczesną galicyjską „opinię publiczną” za niebezpiecznego „wywrotowca”, jak wszyscy ci, którzy słowem prawdy próbowali przebić mistyczną mgłę schyłkowego frazesu. Rodoc i Bałucki zginęli śmiercią samobójczą. Śmierć ta — na równi z całą ich twórczością — jest gorzkim oskarżeniem ustroju, w którym przyszło im żyć.

Tomik prozy satyrycznej pt. „Z wielkiego domu” zawiera mało znane opowiadania **Tetmajera**, **Jordana**, **Kosiakiewicza**, **Perzyskiego**, **Lema** i **Wł. Zagórskiego**.

Ostatnim tomem z „galerii przodków” satyry polskiej jest „Żywot i myśli **Zygmunta Podfilipskiego**” **Józefa Weyenhoffa**. Ta zabawna powieść satyryczna — to figiel spletny przez pana barona swojej klasie, świetny żart, który — jakby niechcący — wyskoczył spod pióra konserwatywnego pisarza - realisty.

„Biblioteka Szpilek” powzięła ambitny zamiar przyswojenia literaturze polskiej także utworów satyrycznych pisarzy obcych o światowej sławie. Mamy więc dwa tomiki opowiadań genialnych pisarzy rosyjskich: **Mikołaja Gogola** „Poranek dygnitarza” i **Antoniego Czechowa** „Szydło z wora”.

Opowiadania zawarte w tomiku pt. „Nieskazitelni sędziowie” **Anatola France’a** są zjadliwą krytyką burżuazji francuskiej i „demokratycznej” machiny państwowej na usługach wyzyskiwaczy francuskiego ludu.

Satyre Czechosłowacji prezentuje nam „Biblioteka Szpilek” dwoma tomikami wybitnych pisarzy czeskich: **Karola Capka** „Humoreski” i **Jaroslawa Haszka** „Kronika śmiechu”. I tu — tak samo jak u France’a spod „demokratycznej” szaty Republiki Czechosłowackiej międzywojennego dwudziestolecia, wygląda podszywka burżuazyjnego wyzysku.

Stowarzyszenie Książkowych Moli nie bez tremy utworzyło tomik poezji satyrycznej jednego z największych poetów niemieckich **Henryka Heinego**: „Statek niewolników”. Obawy okazały się ponne! Wysoki poziom przekładów oraz znakomity wstęp piera **Artura M. Swinarskiego** sprawiają, że czytelnik polski poznaje wielkość Heinego, poety i nieugiętego bojownika o postępek.

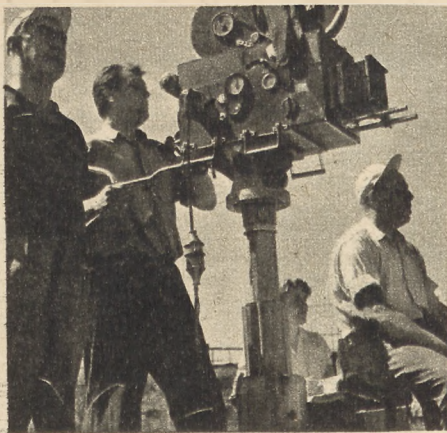
Tom satyry **Juliana Tuwima** pt. „Piórem i piórkiem” — zawiera utwory przedwojenne i pisane już po wojnie, w Polsce Ludowej. Wiersze z okresu międzywojennego odważnie i właściwym mianem określają narastającą zarazę faszizmu.

W tomikach satyry współczesnej spotykamy nazwiska znane dobrze z cotygodniowych „Szpilek” i łamów innych pism. A więc bardzo ostre „Pigułki” **J. Minkiewicza**, „Małe pranie” **W. L. Brudzińskiego**, Wiersze **A. Marianowicza** pt. „Bez pardonu”, zbiór satyr wielu autorów pod znanym tytułem: „Zgrzebień po kołtunie” oraz zbiorek „Plag i plązek” **St. Grodzieńskiej**.

Oddzielny tomik: „Satyra polska w walce o Pokój” jest zbiorem utworów wielu poetów i prozaików, którzy walczyli o największą sprawę naszych dni: o pokój świata.

Stowarzyszenie Książkowych Moli życzy „Bibliotece Szpilek” dalszego świetnego rozwoju oraz szerokiej poczytności, na jaką zasługuje.

S.K.M.



TAJEMNICA ZAMKU W HLUBOKIEJ

W MIESIĄCACH letnich i jesiennych bieżącego roku zaobserwowano wzmożony ruch samochodowy na odcinku Praga Czeska — Hluboka. Hluboka, położona w pobliżu Budziejowic w południowych Czechach, to małe, parotysięczne miasteczko. Nie odznaczałoby się niczym osobliwym, gdyby w 1847 r. książę Johann Adolf von Schwarzenberg nie wybudował tam okazałego zamku w stylu gotyku Tudorów, wzorowanego architektonicznie na zamku windsorskim. Zamek ten stoi po dziś dzień.

Były tam więc rozmaite eleganckie limuzyny, spore autobusy, a zwłaszcza liczne, załadowane tajemniczym sprzętem ciężarówki. W jednym z autobusów okoliczni mieszkańcy zauważyli postawnego jegomościa w marynarkowym ubraniu z krawatem w... okazałej, złotej koronie na głowie, który gorączkowo przyklejał sobie najwyraźniej fałszywą, siwą bródkę. Niektórzy utrzymywali, że był podobny z twarzy do pewnego praskiego aktora teatralnego. Musieli się jednak mylić. Cóżby bowiem miał ów aktor do roboty w Hlubokiej, gdzie przecież nie ma wcale teatru?

Pewnego słonecznego przedpołudnia w całej okolicy zabrzmiały dźwięki trąb dobiegające z zamkowego podwórcia. Było to o tyle niezwykle, że od 1948 r. mieści się w zamku zarząd majątków państwowych i urząd konserwatorski i nikt tam nigdy na podwórku nie trąbił.

Nie były to jednak złudzenia akustyczne. Wiarygodni świadkowie stwierdzili naocznie (ba, zdołali nawet dokonać ukradkiem autentycznych zdjęć), że na podwórku zaroilo się od giermków w średniowiecznych strojach, a także groźnych halabardników, kopijników i konnych rycerzy.

Co innego przykuło jednak z miejsca uwagę świadków. W położonym obok ogrodzie zamkowym zauważyli ciekawą parę, pochyloną nad okrągłą sadzawką. Ona była piękna i młoda, w powłóczy, jedwabnej szacie, na głowie zaś miała małą, ale wyraźnie widoczną koronę. On ubrany był daleko skromniej, ale także nie po dzisiejszemu, co zdradzały choćby długie, obcisłe spodnie.

Wyglądało na to, że para ta najzwyczajniej w świecie flirtuje, choć słowo „flirt” dość trudno kojarzy się nam ze średniowiecznymi zamkami. Okazało się jednak, że rozmowa młodych miała zabarwienie polityczne, gdyż w parę chwil później do ogrodu wpadł zasapany jegomość z siwą bródką, w gronostajowym płaszczu i dużej, złotej koronie, przerywając sam na sam młodej parze. Tłum dworzan biegł przed nim i za nim.

Jegomość z wieku i urzędu wyglądający na króla zaczął krzyczeć coś na temat nierówności społecznej, młody człowiek odwrócił się od niego i uciekł, a wtedy wkroczyli na plac ludzie w dzócejkach i popelinowych koszulach, którzy zbrojni w tajemniczą broń z dwoma bębniami u góry poczęli agresywnie zbliżać się do ubogiego młodzieńca, wołając głośno:

— Król odsuwa się na prawo!

Do starcia jednak nie doszło, gdy bowiem współcześnie ubrani ludzie zbliżyli się niebezpiecznie do skromnego młodzieńca, jeden z nich zawołał:

— Wystarczy. Teraz zabierzemy się do kancelarza wielkiej pieczęci!

Poczem w najzupełniejszej zgodzie całe towarzystwo zniknęło w głąbi podwórcia.

Milicja i miejscowe władze nie interweniują, zachowując zastanawiające milczenie wobec tego tajemniczego spisku rojalistycznego.

Wśród ludności okolicznej krążą najfantastyczniejsze pogłoski. Między innymi kursuje — najwiśdoczniej celowo przez stronników króla rozpowszechniana — plotka, że to reżyser Zeman z Pragi nakręca tam film „O dumnej królownie”.

Jak się rozwiną wydarzenia — nie wiadomo. W każdym razie o ostatecznym rezultacie tajemniczych knoń nie omieszkamy powiadomić naszych czytelników.

(plaż)



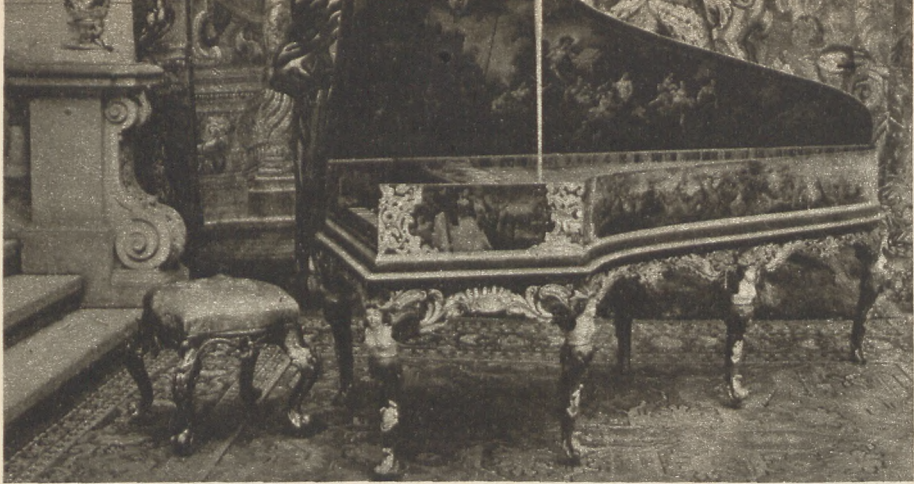
Na podwórku zaroilo się od giermków w średniowiecznych strojach, a także groźnych halabardników



Naoczni świadkowie zauważyli w ogrodzie zamkowym ciekawą parę, pochyloną nad okrągłą sadzawką



Nieco potem wpadł do ogrodu zasapany jegomość z siwą bródką, w gronostajowym płaszczu



Barokowy klawesyn francuski z roku 1700 (Muzeum Narodowe w Poznaniu).

Rozmawiamy o muzyce

WYNALAZEK BARTOLOMEA

IERZY WALDORFF

JUŻ w starożytnej Grecji... — Nie! Nie możemy zaczynać od starożytności, gdyż zbyt długo wędrowalibyśmy do czasów dzisiejszych. Raczej zaczniemy z drugiej strony: jakich przodków ma nowoczesny fortepian? O nim to bowiem będzie mowa w naszej przedostatniej lekcji o instrumentach wchodzących w skład orkiestry symfonicznej. A fortepian jest nam szczególnie bliski, ze względu na Chopina i dlatego powinniśmy wiedzieć o nim sporo. — Pewien francuski literat napisał ładnie, że tym czym dla Hiszpanów kastaniety, dla Polaków jest fortepian...

Przodków miał w linii prostej i bocznej. W prostej pradziadkiem fortepianu był — klawikord, w bocznej, czymś w rodzaju babki stryjecznej — klawesyn, zwany także klawicymbalem. Zasadnicza różnica między tymi dwoma antenatami zaczynała się od małych drewnianych dźwigni, zwanych klawiszami. Skąd ta nazwa? — Z łaciny, w której słowo „clavis“ znaczy po polsku „klucz“. W najstarszym bowiem instrumencie klawiszowym, w organach, naciśnięty klawisz-klucz „otwierał“ powietrzu dostęp do organowej piszczałki.

Otóż klawikord, którego początki sięgają XII w., był czworokątną skrzynką drewnianą, stawianą na stole. Struny napięte były równolegle do klawiatury, a naciśnięcie na klawisz powodowało skok w górę metalowego języczka umieszczonego po drugiej stronie klawiszowej dźwigni. Języczek uderzał w strunę i z klawikordu dobywał się brzęczący dźwięk. Grę na klawikordzie można było cieniować dynamicznie, t. j. grać ciszej, albo głośniej. Zasadniczo jednak klawikord był instrumentem o delikatnym brzmieniu i nadawał się tylko do gry solowej, w niedużych pomieszczeniach.

Konkurentem klawikordu był klawesyn. W tym instrumencie struny były napięte już prostopadle do klawiatury, a na drugim końcu klawi-

szowej dźwigni umocowane było — zamiast metalowego języczka — zastrzone piórko krusze, które nie uderzało w strunę, lecz ją szarpało. To było przyczyną, dla której dźwięk klawesynu, choć bardziej donośny, nie mógł być cieniowany dynamicznie.

Klawesyny budowane były w różnych wielkościach, od małych salonowych instrumentów, zwanych *spinetami*, do wielkich koncertowych. I dziś jeszcze buduje się klawesyny, na których gra się utwory starych mistrzów.

Ani jednak zbyt cichy klawikord, ani głośniejszy, lecz wyłączający dynamikę klawesyn nie mogły być uznane za ideał instrumentu klawiszowego. Dlatego wyszły z powszechniejszego użycia, gdy w roku 1711 pewien Włoch, nazwiskiem Bartolomeo Cristofori wynalazł mechanizm młoteczkowy i zbudował nowy instrument, nazwany „pianoforte“. Skąd ta nazwa? — Narodziła się z zachwyty słuchaczy, którzy podziwiali, że na tym pięknym instrumencie można grać i cicho (po włosku „piano“) i głośno („forte“) i te dwa okrzyki swego podziwu złączyli w jedną nazwę. Znani z przekory Polacy nazwę czym prędzej odwrócili i dali instrumentowi miano „fortepian“. Może zresztą prze-czuwali owe liczne pokolenia starych panien, które potem — bębniąc na fortepianach, ile siły — zatruwały życie pokoleniom ludzi muzykalnych w naszym kraju...

Nie będę opisywał skomplikowanego mechanizmu młoteczkowego. Kto ciekaw, niech uda się do najbliższego znajomego — posiadacza fortepianu lub pianina i zajrzy do wnętrza instrumentu. Uderzywszy w klawisz zobaczy, jaką drogą to uderzenie przenoszone jest w uderzenie młoteczka o strunę. Jeśli potem naciśnie na prawy pedał, ujrzy, jak struny uwalniane są od tłumików. Skoro naciśnie na lewy, dowie się, dlaczego dźwięk instrumentu zaczyna być cichszy.

Na tym miejscu natomiast pomówmy jeszcze nieco o historii. Kto był pierwszym wrogiem fortepianu i rokował mu krótkie życie? — Jan Sebastian Bach... Pomyłki w sądach zdarzają się i geniuszom!

Fortepian tymczasem doskonalił się i rósł w popularność. Pierwszym jego konstruktorem na większą skalę był Niemiec — G. Silbermann (pierwsza połowa XVIII w.), pierwszym nowoczesnym fabrykantem Anglik — J. Broadwood (druga połowa XVIII w.). Ale decydującego przełomu w budowie fortepianów dokonał w początkach XIX w. Francuz — S. Erard, przerabiając mechanizm młoteczkowy Cristoforiego na mechanizm „repetycyjny“. Dopiero ten wynalazek pozwolił na bardzo szybką, wirtuozowską grę na instrumencie.

Czas był najwyższy! W roku 1810 rodził się Chopin, w roku 1811 Liszt — dwaj twórcy nowoczesnej pianistyki, opartej o wirtuozowską technikę.



Nowoczesny fortepian zrobiony ze szkła, jako model wystawowy.

FLOTA W MINIATURZE

Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI

NAJMNIEJSZY okręciś pływac może swobodnie nawet na... spodeczku. A mimo to wyposażony jest w reflektory nie mówiąc już o kołach ratunkowych i filigranowym kapitańskim mostku. Wyobrażacie więc sobie chyba ile trudu i cierpliwości wymaga zrobienie takiego modeliku, zwłaszcza, że jest on naprawdę wierną kopią prawdziwej jednostki handlowej.

Na otwartej w Młodzieżowym Domu Kultury w Warszawie Ogólnopolskiej Wystawie modeli pływających i latających zgromadzono przeszło setkę takich precyzyjnych miniatur różnej wielkości. Miniatur, które zainteresują z pewnością każdego chłopca marzącego o karierze lotniczej czy marynarskiej.

I nie tylko chłopca, gdyż wśród członków okręgowych modelarni Ligi Morskiej i Ligi Lotniczej spory procent stanowią także dziewczęta. W tych to modelarniach przyszli adepci lotnictwa i marynarki otrzymują „pierwszy stopień wtajemniczenia“ w trudnej sztuce latania i żeglowania.

Pracując przy budowie modelu przyszły marynarz czy lotnik poznaje nie tylko zasadnicze szczegóły konstrukcyjne nowoczesnych jednostek, lecz zarazem i całą historię żegluga i lotnictwa.

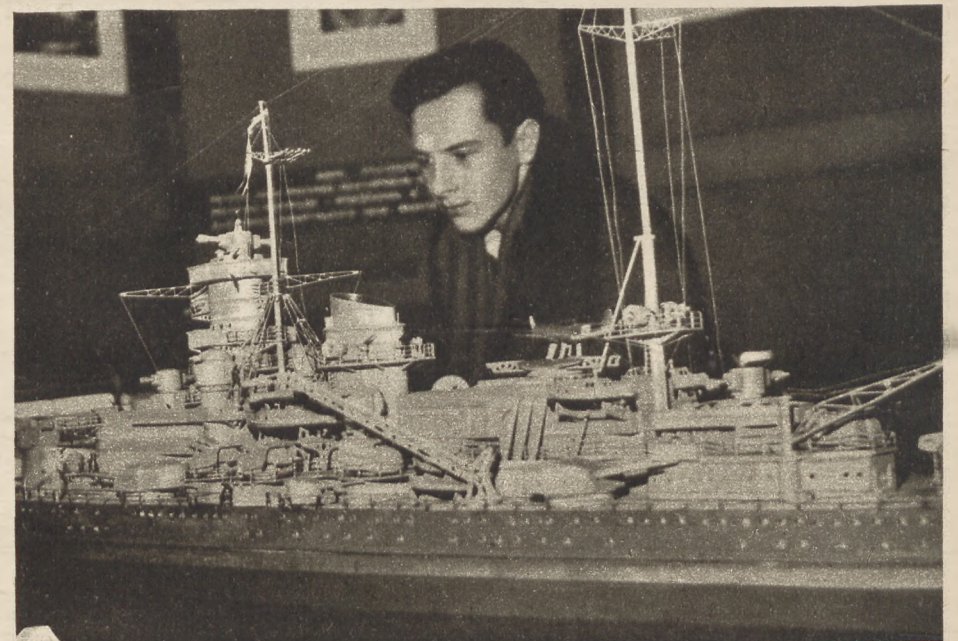
Są więc na wystawie w MDK, wykonane z ogromną pieczołowitością i dbałością o ścisłość historyczną, modele galer starogreckich, łodzi wikingów itp. Są także śliczne fregaty średniowieczne oraz czterometrowej długości kopia... „Gneisenau“. Rozwój lotnictwa ilustrują piękne modele pierwszych „okrętów powietrznych“ — Możajskiego, pierwsze polskie „erwudziaki“ oraz modele naj-

nowszych jednostek odrodzonego lotnictwa ludowego ze wspaniałym odrzutowcem na czele.

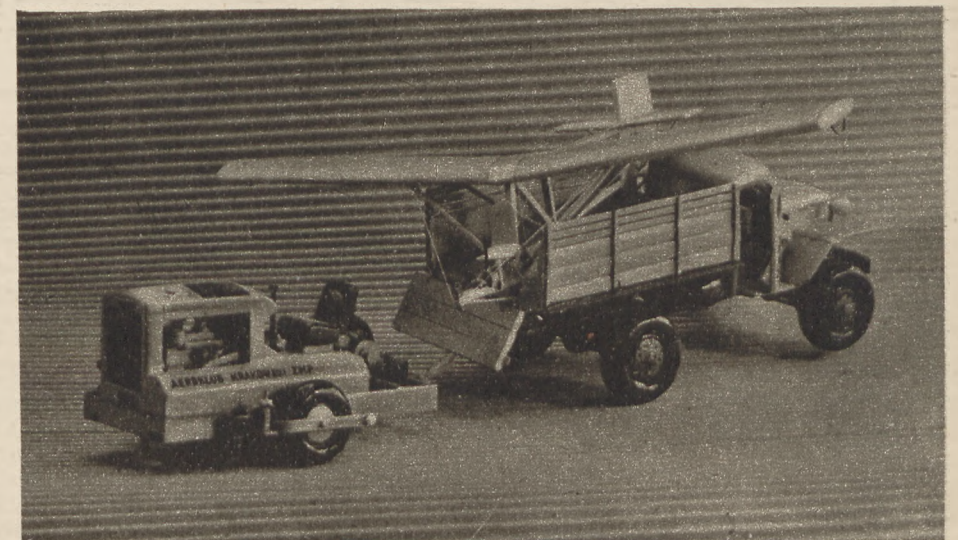
A. W. W.



Wygląda to jak „Guliwer u Liliputów“. Zwraca uwagę staranność wykonania odkrytej części kadłuba.



Ten ogromny model to zrekonstruowany „Gneisenau“, ongiś duma zaborczej floty pruskiej, dziś źródło cennego surowca dla pokojowej produkcji naszych hu-



Dziwne to, ale prawdziwe! Ten modelik na samochodziku, pomimo że jest taki mały i filigranowy, potrafi już latać zupełnie jak... „dorosły“ szybowiec.

Dokończenie na str. 21

SYLWESTER

Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI

PONAD 30 większych zabaw odbyło się w Warszawie w noc sylwestrową. Mieszkańcy stolicy wesoło i z ufną witali Nowy Rok 1952 — trzeci rok planu 6-letniego. W salach Politechniki, Młodzieżowego Domu Kultury, Naczelnej Organizacji Technicznej, w zacisznych mieszkaniach Muranowa i MDM, na służbie tramwajarskiej czy strażackiej — wszędzie z wybić godziny dwunastej dłonie łączyły się w serdecznym uścisku, a noworoczne życzenia mówiły o pokoju, o szczęściu i lepszej przyszłości. Rano 2 stycznia zastał już wszystkich przy pracy, która sprawi, że życzenia nasze staną się rzeczywistością.



Fizycy twierdzą, że człowiekowi do życia potrzebny jest co najmniej 1 metr kwadratowy po-

wierzchni. Na Sylwestrze w Politechnice mniejsza przestrzeń wystarczyła i do życia i do zabawy.



Sufit nad garażem drży od tupotu nóg wybijających rytm oberka. W garażu czuwają przy samochodach strażacy — pożar nie uznaje przecież świąt.



„Proszę chuchnąć. W porządku“. Milicjantka nr. 609 kontroluje samochody, bo nawet Nowy Rok nie zwalnia kierowców od przestrzegania przepisów



Serdecznym pocałunkiem powitała para narzeczeńska Nowy Rok na zabawie w Naczelnej Organizacji Technicznej, gdzie zastała nas sylwestrowa północ.



Polskim szampanem i węgierskim „Rislingiem“ wznosimy toast noworoczny. Błyskawiczne wywiady: z marynarzem — „Jakie życzenie?“ — „Naszyw-

ki bosmana“; z jego narzeczoną — „Jakie życzenie?“ — „Żeby częściej był w domu“. Wywiady trwają 1/5.000 sek., tzn. szybkość „błysku“ fotoreportera



„Policz Mirka, ile tu lampek na choince“. Mirka liczy: raz... dwa... trzy... chwilę się jeszcze zastanawia: „Dużo, dużo razy po dziesięć, mamusi...“

UCZTA BALTAZARA

P O W I E Ś Ć

Ilustracje: IRENA KUCZBORSKA

Panna Leszczyńska zmieniła temat. Uriaszewicz dowiedział się wtedy z jej słów, że zamek, w którego resztkach się znalazł, jest słowiańskim zabytkiem. Jeszcze z epoki, kiedy panowali nad zachodnim Pomorzem książęta polscy, piastowscy. Zatem z czasów, bądź co bądź niedawnych, skoro ostatni z dynastii, Bogusław XIV, z książęcego rodu Gryfitów, zgasł na tronie w pierwszej ćwierci siedemnastego wieku. Jego to rezydencją była również Olikana.

— Tu jest prześlizgnięcie — mówiła pani Leszczyńska — niechby już tylko to wino i te róże wzmocniły się, by nie było za pusto, za goło.

— A tak już zeszłego roku czyściutko rosły — użalił się stary pan. — Bo zabiedzone toto wyszło z wojny okropnie. Ani to kto oczyścić, ani podlać w suszę, ani nawozu podsypać.

Obrzucił spojrzeniem roślinność na murach.

— A wdzięczne to za każde staranie!

— A czy nie znakomite miejsce dla moich dzieci na zebrania pod gołym niebem — powiedziała pani Leszczyńska. — Na przykład na wieczorne ognisko w jakiś uroczysty dzień. Lepsze to, niż polana w lesie.

— Z pewnością — zgodził się Andrzej.

— Bo się tu przy okazji i o historię naszą tych ziem otrą — dodał staruszek — i piękna napatrzą.

Spojrzenia wszystkich od arkad i łuków, zdających się lekko oddychać, bo się na nich poruszała od powiewów opłatająca je szata listna, skierowały się ku morzu. W przestwór błękitnawo-fioletowy powietrza i wody, jednolity w świetle gasnącego dnia.

— A nam do domu czas — pierwsza przerwała milczenie pani Leszczyńska. — Robi się późno dla ojca.

Ojciec zdjął z głowy zbyt dużą już chustkę. Rozwiązał rogi, schował ją do kieszeni i sięgnął po czapkę, zawieszoną na haku koło bramy.

— A pan? — wyciągnął rękę ku Uriaszewiczowi.

— Zostanę chwilę.

— Lepiej dla pana! — zmrużył oczy staruszek. — Ze mnie żaden kompan przy schodzeniu w dół. Pomalutku idę. Pomalutku.

Od bramy odwrócił się jeszcze.

— A wpadać tu prosimy. Ot, o tej porze — wołał. — Jakby nawet córka zawiodła, ja nie zawiodę. A jakbym nawet ja zawiodł, nie zawiodą liszki.

— Tylko, czy aby pan do Olikany na dłużej? — przystanąła również pani Leszczyńska. — Zapomnieliśmy spytać.

— Na dłużej!

— Do portu?

— A oczywiście!

* * *

Kiedy w dobre parę godzin po ich odejściu ocknął się, ohyba przez całą minutę nie mógł zrozumieć, gdzie jest. Leżał rozciągnięty na kamieniach, zmarnięty, obolały wpośród fantastycznej scenerii, którą coraz to wydobywał z nocy czarnej jak atrament, błysk światła, przelatujący także Uriaszewiczowi przez twarz. Wyrwał spod głowy zesztywniałe ręce, podparł się, usiadł i na koniec oprzytomniał. Był w Olikanie! Na Zamkowym Wzgórzu! Spoczął na moment w ruinach i najwcześniej pospał się! A dobudził się go nareszcie blask latarni morskiej! Zeskoczył z muru i kilkanaście razy, by się rozgrzać i rozprostować kości, zabił plecy rękami nim ruszył w powrotną drogę.

Lecz dopiero za miastem w drodze ku domkowi, gdzie dostał pokój, poznał, co to jest noc czarna, jak atrament. Tu mu nic pomóc nie mogła latarnia, ani miejskie oświetlenie, które dawno się skończyło. Trochę na słuch, trochę na instynkt ostatecznie dotarł na miejsce. Ostrożnie, żeby nie obudzić córeczki pani Zandowej, otworzył drzwi z zatrasku. Lecz ona nie spała. Czekająca ubrana.

— Jest kolacja — usłyszał jej głos, wyraźnie zmieniony, zdławiony.

— Nie, dziękuję. A tobie co? — spytał.

— To może herbaty?

Jej zęby leciutecznie szczykały. Podniosła na niego oczy. Dopiero wtedy poznał po ich wyrazie, że się bała. W pustym domu nieprzyjemnie nocą dziecku — pomyślał.

— To może herbaty?

— Późno strasznie! — rzucił okiem na zegarek. — Jedenasta!

Pożegnał się i poszedł do siebie. Zaledwie jednak zdążył nalać wody do miednicy, usłyszał kroki Zandówny na schodach.

— Co tam? — wyjrzał.

Podala mu na wyciągniętej rączce spory klucz.

— To od schronu — uprzedziła jego pytanie.

— Od jakiego schronu?

— W lesie.

Poprzedni właściciele na rok przed zakończeniem wojny wymurowali sobie z dala od polany, na której stała kolonia, schron. Przypomniawszy sobie, że opowiadając o domku i o tym fakcie napomknęła.

— Ten pan, co tu mieszkał — wyszeptwała teraz, kładąc mu do szuflady stołu pod oknem klucz, którego od niej nie brał — składał w nim rzeczy.

— Jakie rzeczy? — skrzywił się, jeszcze nie pojmując.

— Te, co później ze sobą zabrał.

Fala krwi uderzyła mu do głowy.

— Ale ja żadnego składu nie potrzebuję — podniósł głos. — Niczego stąd nie będę zabierał.

Przeprowadzała swój naiwny, obronny plan dalej. Zrozumiał to wtedy, kiedy powiedziała:

— Ja jutro panu wskażę drogę — przyobiecowała — sam pan nigdyby nie trafił.

Bała się go. Bała się takim samym lękiem, jakim przez całe lata musiała się bać tylu obcych. Chore nerwy sprawiły, że samotnej nocy odezwał się w niej ponurym echem. Tak, jak dawniej — nie dając jej wtulić po dziecięcemu głowy w poduszkę, lecz wymagając czynnej, przebiegłej postawy.

— Dobra. Do jutra więc. Idź spać. — Andrzej udał wówczas, że polyka hačyk. — Ja też się zaraz walę do łóżka.

Ale uczynił to dopiero wtedy, kiedy odwalił korespondencję. Umył się przedtem, rozłożył na stole dokonane zakupy: blok, koperty, atrament, znaczki, i z głową rzeźką zabrał się do pisania. Najpierw do Klimontówny. Długi to był list, w którym wszystko zawarł, co miał jej do powiedzenia po przyjeździe do Warszawy. Następnie do Joanny. A na koniec do Hazy i Stępczyńskiej.

ROZDZIAŁ XXV

Dni leciały, a port dla Uriaszewicza był ciągle czymś nowym. Nie dawał w siebie tak łatwo wrócić jak Jeżowa Wola. W szkole zastał Andrzej placówkę już czynną, niedużą; robotę niezawila, na miarę swoich życiowych doświadczeń. Tu mrowie ludzi na rozległej przestrzeni wykonywało w tempie, w sytuacji wciąż innej, dziesiątki prac jemu obcych. A do tego Birkut przerzucał go z miejsca na miejsce. Z warsztatów do kapitanatu, z kapitanatu do magazynu ekipy nurków. Od rysunku części, które trzeba było przy transporterach, starych, pościąganych Bóg wie skąd, dorobić, do pocztu, przynoszącej z różnych instytucji i urzędów materiały, które należało zreferować. To znów od pocztu do sprzętu, którym musiał się zająć.

— Odwody kwatery głównej, widzisz czym ty jesteś! — mawiał Birkut w dobrodusznym nastroju.

A kiedy popadał w ironiczny, ujmował rzecz bardziej cywilnie i celniej.

— Zapchajdziura z ciebie — brał go w ramiona.

— Ale dlaczegoś tak z przyjazdem marudził.

Wymawiał mu to, nie pytał o przyczyny. Choć nawet był ciekaw, nie miałby czasu słuchać wyjaśnień. Podobnie, jak wciąż jeszcze nie znajdował czasu, żeby Uriaszewiczem porządnie się zająć, ani by z nim dłużej pogadać, tak jak mu to przyrzekł pierwszego dnia.

Ale i tak Andrzej się od niego uczył. Od niego, od Czczugi, kiedy im w skrócie podawał treść sprawozdań z konferencji czy z zamkniętych dyskusji, z wygłaszanych na tych dyskusjach referatów, z teoretycznych artykułów w czasopismach specjalnych, które dla kapitana i bosmana czytał. Dotyczyło to wszystko spraw najróżniejszych. Również morskiej polityki handlowej, strategii inwestycyjnej w portach, kwestii wysoko wykwalifikowanych fachowców portowych, zagadnienia nowych portowych kadr. Słuchali zwykle w skupieniu, dzieląc się krótkimi uwagami. Pewnych głosów — ze sprzeciwem. Wyrażał się on u Birkuta wzruszeniem ramion. U Czczugi — czymś więcej.

— Ot, śmiechu warte — niecierpliwił się Birkut, przerywając Uriaszewiczowi referowanie takich wypowiedzi. — Przechodź do następnej!

Siedzieli w upalny, duszny dzień, nad kilkudziesięciostronicowym stenogramem narad, poświęconych małym portom, a więc Kołobrzegowi, Ustce, Darłowowi, Olikanie. Zawierał opinie głośniejszych nazwisk, licznych autorytetów morskich sprzed wojny, naukowców i praktyków. Pewna grupa wśród nich, w mniej lub więcej wyraźny sposób, stawiała przyszłość tych portów pod znakiem zapytania. Chyba że się nimi zainteresuje zagraniczny kapitał.

— Jedź dalej! — w kosych oczach kapitana Birkuta migotała znudzona ironia. — Brzuch boli słuchać!

Przy najbliższej podobnej opinii, ziewnął.

— Bez znaczenia!

— Nie powiedziałbym — pokręcił głową Czczuga i nastroszył ogromne brwi. — Nie powiedziałbym.

Sięgnął palcami do swojej szpakowatej czupryny, przecesał ją i został tak przez chwilę z ręką na włosach opuściwszy powieki.

— Jak to, żadnej okazji nie przepuści — zadumał się. — Na każdą okoliczność ma gotową muzykę.

Miał zwyczaj notować na kartce, w miarę jak Uriaszewicz mówił, to i owo. Artykuły czy głosy, które go uderzyły i które chciał w całości przeczytać. Teraz zakreślił na niej parę nazwisk, rzuconych na papier z boku i podsunął ją Birkutowi.

— Przypatrzcie się kapitanie! — rzekł. — Ja sobie tutaj wypisałem tych panów. Wszystko ci sami, którzy przed dwoma laty starali się wmówić proletariatu naszego wybrzeża podobne rzeczy, ale wtedy na temat wielkich portów! Gdyni! Gdańska! Szczecina!

Palce jego powróciły do włosów.

— Kiedyście wy tak w waszym przemówieniu — rozwijał swoją myśl — ludziom w Olikanie kadzili, łaskawie i mnie i nie mnie w szczególności, myślałem o naszych towarzyszach w Gdyni. Jak się to takim doradcom, takim panom praktykom, panom rzeczoznawcom oparli. W czterdziestym piątym ro-



ku! W czterdziestym szóstym! Zanim eksport ruszył, a nawet gdy ruszył — jak się obronili przed zdaniem tych panów, że socjalizm w naszych portach, w tej formie jak wyszły z wojny, był nie do utrzymania! Przed zdaniem, przepisującym jako lek na tym terenie, bezwzględnie — obcy kapitał! A przepisywał nie byle kto! Tuży! Asy! Ten łopata, a inny statystyką do głowy kładł, że w wytworzonej przez wojnę sytuacji nonsensu jest upór, bo porty za kopalniami nie nadają. Zniszczony aparat portowy — za węglem, który na skutek działań wojennych nie dostał tak po skórze. Nie nadają — bez zupełnie wyjątkowych środków. Argumenty mieli! Tylko że proletariatus uciekł się do wyjątkowych środków wręcz innych. A nie do — jak się zdawało — nieuchronnego kompromisu. To była obrona godna waszego słowa w taką uroczystość.

Wziął kartkę do Birkuta i jeszcze raz się nad nią pochylił.
— Rozbić im jedną koncepcję — marszczył się coraz gniewniej — znajdując drugą. Obronić porty przed obcym kapitałem, stawiając sprawę obcych firm. Zawsze zwątpić we własne wykonawstwo! A jak ruszysz ich z tej linii, zde-rzysz się z nimi na nowym froncie. Zagranicznych specjalistów! Kształcenia nowych, wysoko wykwalifikowanych kadr musowo we Francji, Anglii, Szwecji!

Przeglądając się nazwiskom, segregował ludzi.

— U jednych to jest prosta wro-gość. Albo kalkulacja. Albo wręcz lokajstwo! — zastanawiał się. — Ale nie u wszystkich! Czasami u tych różnych autorytetów, rzeczoznawców, uczonych — nawyki myślowe. I nie-wiara we własne siły. W polskie siły. Taka niewiara jak w ogóle u inteligencji.

Ujął tę myśl w lapidarnym skró-cie:

— Sparzyło się to na burżuazji, a na klasę robotniczą dmucha.

I cofnął się na krótki moment ku wspomnieniom:

— Na tej burżuazji — i żal był w jego głosie i złość i zdziwienie, w tym głosie po chwili nabrzmiałym dumą — co jeszcze w siedem lat po tamtej wojnie dawała sobie przez za-granicznych kapitalistów podbierać z kieszeni za samo pośrednictwo i transport pięćdziesiąt procent de-wiz, należnych narodowi za węgiel! I to w okresie popytu! Konjunktury! W okresie strajku górniczego w Anglii!... Ja już więc o niczym in-nym nie mówię, ale — żeby mu po-łowa zysku przeciekła przez palce — tak nawet w najcięższym czasie u nas proletariatus nie gospodarował!

W tym momencie ktoś niegłośnie zapukał do drzwi. Kapitan Birkut zwrócił się do Czeczuga i Uriaszewicza: — Jest Józek Konkol.

I zaproponował:

— Przerwiemy na chwilę.

Sam żywo uprzątnął środek biurka z papierów, za jednym zamachem zgarniając maszynopisy, omawiany przez Uriaszewicza, na bok, tak by jasnowłose, a ciemnooki najmłodszy z nurków pracujących w Olikanie miał gdzie złożyć palnik do pod-wodnych robót, z którym przy-szedł.

— Dawaj tu swój instrument — rzekł.

Pochylił się nad nasadką palnika.

— Acha — z żartobliwą przesadą otworzył usta — toś ty tak ją spreparował! Powiodł po niej palcem raz i drugi, odkręcił i ustawił na goły blat dyszą do góry, z widoczną teraz doskonale różą żłobków pomysłu Konkola, twierdzącego, że w ten sposób pracuje lepiej.

— Co ci to daje? — zagadnął go Birkut.

Konkol wysoki, w niebieskiej, wełnianej krymce, jaką nurkowie kładą pod hełm i której często nie zdejmują, mając wrócić pod wodę — przeniósł wzrok z nasadki na kapitana.

— Palnikiem nie rzuca.

Czeczuga uzupełnił jego wyjaśnienie.

— Pali tym swoim sposobem do dziesięciu procent więcej od kolegów. To fakt.

— Każdy by tak palił — dodał Konkol — gdyby mu nie rzucało.

— Tyś dobry spawacz, to ci nie zarzuca — powiedział Birkut. — Paliłbyś bombą atomową i też by ci nie zarzucało.

— Chyba że mnie samego — na tamten świat! — zaśmiał się krótkim, szcze-rym śmiechem Konkol.

— Masz czas! — odparł mu Birkut.

Przysiadł na biurku i obracając w palcach nasadkę usprawnioną przez Konkola palnika, zastanawiał się. Konkol spoważniał. Milczał chwilę i raz jeszcze stwierdził:

— Każdy będzie do dziesięciu procent palił — rzekł — jak mu nie będzie rzucać.

— Skąd wiesz?

— A bo już i Hołowlec palił moim palnikiem i Bator.

— A ty?

— A ja na ten czas spróbowałem wrócić do starego systemu.

— I co?

— I wyszło na moje.

— Znaczą, że oni twoim systemem wyszli na gierojów — uporządkował po swoim relację Konkola Birkut — a ty i ich system — na sirote.

— Na sirote, towarzyszu kapitanie!

— Rzucało ci?

— Jak nie swoją nasadką pracuję i mnie też musi rzucać.

Kłopotów z podwodnym paleniem bywa wiele. Jednym z nich jest trudność równego prowadzenia palnika, który pod wodą z różnych ustalonych i nie-ustalonych powodów łatwo popada w drgania i skoki. Usunąć ich nieznana przyczyną byłoby dużym osiągnięciem. Birkut ze żłobków nasadki przeniósł wzrok na twarz młodego nurka.

— A coście wtedy cieli?

— Kiedy?

— Próbuując się ze sobą na palniki.

— W basenie osadowym — przypomniał za Konkola Czeczuga — palili na złom szalandę

— Może Bator z Hołowcem mieli poszycie przygotowane lepiej? — poddał Birkut najprostsze rozwiązanie.

— Niż moje? — zeszywniał Konkol.

Obruszył się, nazbyt wyraźnie mając w pamięci jak naprzód starannie wszyscy równo oczyścili przed próbą zardzewiałe, zżarte solą morską, porośnię gąszczem muszelek burty szalandy. A także — jak często musiał słyszeć, kiedy się na początku swej pracy skarżył na rzucanie, że widać źle oczyszcza szlak paleniem. A przecież każdy wiedział, że nie cała rzecz w tym!

— Nie mieli — rzekł na koniec i zaczętnie dodał — a swoim porządkiem na gładkim niby nie potrafi rzucać?!

Wziął do rąk nasadkę, pogładził i z wolna szukając określeń, zaczął tłumaczyć jak i dlaczego spokojnie pracuje. Birkut słuchał uważnie. Sam pomysł znał, z Konkolem i kierownikiem ekipy nurków w trakcie rozmów o sprawa-ach innych, pilniejszych. Wydawał mu się za prosty. I taki rzeczywiście był. Tylko że poza tym — trafiający w sedno. To właśnie raptem teraz Birkut pojął.

— Racja — ucieszył się i wesoło zahuczał. — Na mój rozum, to wcale nie głupie. Weźmiesz ty medal za tę swoją sztukę.

Wdali się w szczegóły. Kapitan, bosman, Konkol, a także Uriaszewicz.

— Nawet jak mu się palnik z taką nasadką zetknie z metalem — za-uważał Czeczuga — nie rzuci, bo ogień znajdzie sobie drogę na boki przez żłobki.

— O, to to — przytwardził ka-pitan. — Akuratnie!

Spotniał. Po raz niewiadomo któ-ry otarł twarz. Tęgi był, tylko że serce miało nie tęgie. Męczył go upał.

— Oj, grzeje, grzeje! Ciężko w taki dzień człowiekowi!

W jego kosych oczach zamigotał wesoły ognik.

— Tylko wodołazom dobrze!

Parsknęli śmiechem. Ale zaraz rozmowa powróciła do poważnego tonu.

— Na górze by czegoś podobnego nie skombinował — w pewnej chwili takiego wyrażenia użył Konkol.

— Ech ty, nurze zatracony — Bir-kut klepnął go po ramieniu. — Wam, wodołazom, zawsze się zdaje, że człowiek dopiero jak wsadzi głowę, w wodę, nabiera smykałki!

— Ja nie o tym, towarzyszu ka-pitanie!

Bo Konkolowi nie o to szło. I w ogóle nie o przeciwstawienie ludzi pracujących pod wodą, ludziom pra-cującym na wierzchu; przeciwsta-wienie, o jakim się często słyszy od nurków. Ani o żadne inne przeciw-stawienie. Lecz nawet jak gdyby o coś wręcz przeciwnego.

— A o czym?

Spod jasnych brwi młody nurek spojrzął na Birkuta swymi ciemny-mi oczami.

— Do czego żeś pił?

— Do tego, że u nas życie — sekundę się zastanowił i w ten sposób wreszcie zakończył rozpoczęte zdanie — jest tak wyliczone, że każdemu wypada myśleć.

* * *

— Wio, kareńki — ruszył batem dyrektor Tomczyński. — Karuś, wio!

Po dniu upalnym nastąpił wieczór jeszcze bardziej duszny. Nad drogą kurz, raz wzniesiony, nie opadał i nie opadał. Już dobrze poszarżało, a powietrze było nadal ciężkie. Koń ani na bat, ani na głos Tomczyńskiego nie przyśpieszył chodu. Znał tego woźnicę, który kiedy się zagadał, choć od czasu do czasu pod-pędził, nie pilnował co z tego wyniknie.

— Prowadzicie że jest w Olikanie — ciągnął dyrektor. — Niech mu będzie na zdrowie!

Wiózł Klimontównę na kolej. W Jeżowej Woli na zakończenie roku szkolnego mieli takie mnóstwo papierkowej roboty, że o Uriaszewiczu nie mówili dłużej. Tyle tylko że Klimontówna otrzymała od niego list, i opowiedziała w kilku słowach, co zawierał. Teraz dopiero na wózku roztrząsali wypadek Uriaszewicza szczegółowiej.

— Skądże znowu — zapewniał Tomczyński. — Przez głowę mi nie przeszło aby był zamieszany w zbrodnię. Nie puścił ja bym ci go do Warszawy, gdybym tak myślał. Ze Spos po niego posłał, ani mnie to dziwiło, ani zaskoczyło. Przy-syłał on już przedtem do różnych nauczycieli. Kto się tylko nowy pokazał w szkole, to po niego przysyłał.

— Po co?

— A po to, żeby go przede mną przestrzec. Przed pracą w szkole. Przed naszym kierunkiem. Nie nosił on naszej szkoły w sercu, nie nosił. Bośmy tu w okolicy na grunt szkolny wstąpili bez mała pierwsi!

Zastanowił się:

— A kiedy nas tak zawiódł, nie wracając z Warszawy — poruszył etap sprawy następny — to już gorzej.

Przerwał na chwilę. Nie chciał, by Klimontówna wyczuła gniew w jego głosie. Mogłaby pomyśleć, że do niej ma pretensje o Uriaszewicza. A uznawał że była w porządku.

— Wy sobie nie wyrzucajcie, żeście go polecili — powiedział nawet. — Ufać trzeba!

— Wy to mówicie! — zdziwiła się Klimontówna. — A takeście go sobie wtedy przy pierwszym spotkaniu w wydziale oświaty w Warszawie, oglądali podejrzliwie?

Kurz z drogi, unoszący się wytrwale, osiadał w nozdrzach, w ustach, w gardle. Tomczyński odkaslnął.

— A owszem — przyznawał. — Ja chłodno podchodzę do ludzi z jego śro-dowiska.

Dalszy ciąg nastąpi



TANIO i ŁADNIE

KOMPLETUJĄC ubranie musimy pamiętać o podstawowym warunku: wydatek nie może przekraczać naszych możliwości finansowych, a strój winien być wygodny i praktyczny, szczególnie w pracy.

Najlepszym rozwiązaniem tego problemu jest spódniczka i bluzki, które w różnych połączeniach dadzą coraz to nowe kreacje. Bardzo pożyteczna okaże się również garsonka. Ale i sukienka bez ekscentrycznych ozdób o prostym kroju, uszyta z ciemniejszego materiału jest odpowiednim strojem do pracy. Dla oszczędzenia ubrania możemy w biurze nosić brązowy lub granatowy fartuch.

Oto trzy sukienki eleganckie i praktyczne, które możemy uszyć tanim kosztem.

MODEL I, to sukienka z lekkiej wełny z szeroką plisą, zapięta na dwa oryginalnie rozmieszczone guziki, jeden u góry, drugi poniżej paska. Koł-

nierz mały, szalowo stojący. Rękawy wszyte, trzyćwiertciowe z niedużym wywinętym mankietem. Spódniczka lekko rozkloszowana, szwy po bokach. Kołnierz, plisa, mankiety i dół sukni przybrane szeroką wypustką w tonie ciemniejszym niż sukienka. Pasek wąski zamszowy.

MODEL II, to komplet dwuczęściowy — składający się z jasnej plisowanej spódnicy i żakietu w ciemniejszym kolorze. Sportowy charakter tego żakietu podkreśla kołnierz męskiego kroju oraz przecięte, wpuszczone kieszenie. Zapięcie dwurzędowe. Pasek wąski, skórzany.

MODEL III, to sukienka na każdą okazję. Rękaw półreelanowy przechodzi w karczek zakończony z przodu plisą do zapięcia. Plisa ta poniżej pasa przytrzymuje niezaprasowaną kontrafaldę spódnicy. Rękawy trzyćwiertciowe z wywinętym mankietem. Estetyczną całość uzupełnia mały, półstojący kołnierz i wąski zamszowy pasek.

FILATELISTYKA

ZNACZKI RADZIECKIE

W 25 rocznicę śmierci wielkiego Polaka-rewolucjonisty, wybitnego działacza partii bolszewickiej, Feliksa Dzierżyńskiego — wydane zostały dwa znaczki okolicznościowe. Znaczki te, z portretem Feliksa Dzierżyńskiego, posiadają daty: 1926 — 1951, oraz napis: „25 lat od dnia śmierci wybitne-

go działacza partii bolszewickiej i państwa radzieckiego“.

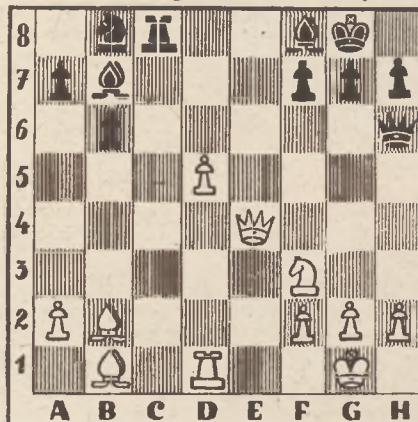
Znaczek wart. 40 kopiejek jest barwy czerwono-brązowej, znaczek za 1 rubel — stalowo-szary. Oba drukowane są metodą wkłesłodrukową, posiadają wymiar (bez marginesu) 23×42 mm i ząbkowanie 12.



SZACHY

PARTIA NR 12

grana w ostatniej rundzie XIX czempionatu ZSRR.



Pozycja po 22 ruchu czarnych

PARTIA ANGIELSKA

Białe: P. Keres Czarne: M. Tajmanow

1. c2—c4 Sg8—f6 2. Sg1—f3 e7—e6 3. Sb1—c3 d7—d5 4. e2—e3 Gf8—e7 5. b2—b3 0—0 6. Gc1—b2 b7—b6 7. d2—d4 Gc8—b7 8. Gf1—d3 d5:c4 9. b3:c4 c7—c5 10. 0—0 c5:d4 11. e3:d4.

Białe mają tzw. wiszące piony, które będą w dalszym ciągu partii obiektem ataku czarnych. W zamian za to białe uzyskały efektywną pozycję.

11... Sb8—c6 12. Hd1—e2 Wf8—e8.

Nie przeszkodziło 12...S:d4 z powodu 13. S:d4 H:d4 14. Sd5 Hc5 15. G:f6 (po 15...G:f6 wygrywa 16.He4) 16.Hg4+ Kh8 17.Hh4.

13. Wf1—d1 Wa8—c8 14. Wa1—c1 Hd8—d6.

Zapoczątkowany ostatnim posunięciem manewr hetmana jest dla czarnych niekorzystny. Dlatego też należało wzmacniać nacisk po linii „c“ grając np. 14...Sa5.

15. Gd3—b1 Hd6—f4 16. d4—d5!

Keres godzi się na to, aby mieć izolowanego piona, gdyż w zamian za to deplasuje czarne figury, uzyskując możliwości bezpośredniego ataku na czarnego króla.

18...e6:d5 17. c4:d5 Sc6—b8 18. Wd1—d4 Hf4—d6.

Czarne zmuszone są wrócić hetmanem na poprzednie miejsce.

19. Wc1—d1 Ge7—f8 20. Sc3—e4 Sf6:e4 21. Wd4:e4 We8:e4 22. He2:e4 Hd6—h6.

Końcowy atak przeprowadza arcymistrz Keres w wielkim stylu.

23. Sf3—g5! Gf8—d6.

Na 23...g6 nastąpiłoby 24. Hf4 f5 25. He5 itd.

24. h2—h4 Sb8—d7 25. He4—f5 Sd7—f6.

Wymuszone, gdyż nie można inaczej bronić piona f7.

26. Gb2:f6 g7:f6 27. Sg5:f7!

Pozycja czarnych jest już rozbita. Nie można wziąć skoczka z powodu 28. Hd7+. Tajmanow znajduje jednak jeszcze niezwykle interesującą możliwość obrony, tym bardziej realną, że Keres znajdował się w tym momencie w bardzo silnym niedoczasy.

27...Hh6—c1! 28. Hf5:h7+.

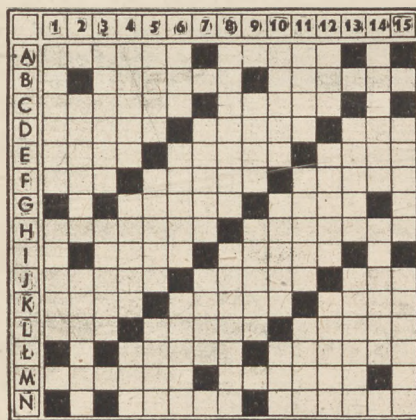
Nie bacząc na brak czasu do namysłu arcymistrz Keres znajduje drogę do wygranej. Jeszcze silniejsze było 28. Hh5.

28...Kg8—f8 29. Sf7:d6 Hc1:d1+ 30. Kg1—h2 Hd1:d5 31. Sd6:b7 Hd5—e5+ 32. g2—g3 Wc8—c7 33. Hh7—h8+ Kf8—f7 34. h4—h5 Wc7:b7 35. Hh8—h7+ Kf7—e6 36. Hh7:b7 He5:h5+ 37. Kh2—g2. Czarne poddały się.

Wynik tej partii zadecydował o zdobyciu przez arcymistrza Keresa tytułu czempiona ZSRR.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: A—1) Zwolennik, miłośnik A—8) Olbrzym, gigant B—3) Roślina warzywna B—10) Starożytna nazwa, półwyspu Pirenejskiego C—1) Tytuł opery Webera C—8) Pół-zach. część półwyspu Arabskiego D—1) Nie wielka ilość nawiniętych nici D—7) Rasa psa D—13) Rodzaj jadalajni E—1) Hebrajskie imię męskie E—6) Zeszyt do notatek E—13) Tłusta gleba bez kamieni i piasku, powstała przez akumulację rzek w ich dolinach F—1) Inaczej „dźwięk“ F—5) Dawny pieniądz polski F—11) Dęty instrument muzyczny G—4) Rodzaj długiej przezroczystej zasłony G—10) W grze w karty: ogół stawek, bank H—1) Rodzaj potrawy nacznej H—9) Dar, prezent I—3) Pospolity chwast I—8) Kurta skórzana do konnej jazdy J—1) Jedn. miary drogich kamieni i złota (wspak) J—7) Wartość, znaczenie J—13) „Jak“ w jęz. rosyjskim K—1) Postać biblijna K—6) Odgłos poruszania skrzydłami K—12) Półwysp między morzem Białym i oceanem Lodowatym L—1) Masa do pieczętowania L—5) Punkt przeciwległy zenitowi L—11) Hałas, zgłębienie L—4) Najwyższa władza uniwersytecka L—10) Inaczej „chwila“ M—1) „Liczby“ po łacinie

M—8) Ochota do jedzenia N—4) Autor „Bajek dla starszych dzieci“ N—10) Rękojeść, uchwyt.

PIONOWO: 1—A) Woń, zapach 1—H) Ogólna nazwa pierwiastka chemicznego lub jego związków, odznaczającego się nieprzezroczystością i dobrym przewodnictwem ciepła i elektryczności 2—C) Inaczej „pochodząca z lasu“ 2—J) Zasłona na lampę 3—A) Rozpuszczalnik lakierów 3—H) Zatyczka do butelki 4—A) Przestrzeń, pole 4—G) Lennik, hołdownik 4—L) Termin sportowy 5—A) Port w Somali franc. nad zatoką Adeńską 5—F) Główna rzeka w Gruzji 5—L) Żyłka w liściu 6—A) Panika na giełdzie 6—E) Termin lotniczy 6—K) Ssak leśny 7—D) Słynny prawodawca ateński 7—J) Pospolita ciecz 8—A) Imię męskie 8—I) Stopień oficerski 9—C) Środek znieczulający 9—H) Ogląda, grzebie 10—A) Inaczej „granica“ (z łaciny) 10—G) Bystrość, fantazja 10—L) Największy prawy dopływ Renu 11—A) W jęz. niemieckim na początku wyrazów: nad 11—F) Środek kosmetyczny 11—L) Oddział żołnierzy 12—A) Moneta japońska 12—E) mieszaniec rasy białej i czarnej 12—K) Narodowy napój kirgiski 13—D) Targowisko, rynek 13—J) Ciało niebieskie 14—A) Tytuł cesarzy japońskich 14—H) Wzorzec, prototyp 15—D) Początek dnia 15—J) Część książki lub zeszytu.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe“. Za dobre rozwiązanie przyznanych zostanie 10 nagród książkowych.

Równolegle z tymi i innymi wynalazkami, które przyczyniły się realnie do udoskonalania fortepianu, były i wynalazki przejściowe, choć głośne w swoim czasie. 15-letni Chopin grał w Warszawie na „eolomelodykonie“, instrumencie będącym kombinacją fortepianu z organami. Niedawno, w ubiegłym dwudziestolecu międzywojennym, Czech — Alois Haba usiłował namówić świat na słuchanie „forte-pianu ćwierćtonowego“. Ale i to się nie udało.

Na marginesie: zabytkowa rotunda b. zboru ewangelickiego na Placu Małachowskiego w Warszawie jest w trakcie przebudowy na salę koncertową Filharmonii Warszawskiej.

Kiedy Chopin opuszczał Warszawę, gmach Teatru Wielkiego nie był jeszcze ukończony. Gmach Teatru Narodowego na Placu Krasińskich, w którym kompozytor występował parokrotnie — od dawna nie istnieje. Zatem odbudowywana na Filharmonię sala rotundy będzie jedyną w Warszawie, która będzie mogła się chlubić, że koncertował w niej Chopin. Gdyż tam właśnie popisywał się grą na „eolomelodykonie“.

Praktycznym wynalazkiem, o którym należy wspomnieć w dwóch słowach, był dokonany w 1811 r. przez R. Wornuma wynalazek pianina. Jaka jest różnica między fortepianem a pianinem? Forte-pian ma struny napięte poziomo, a pianino pionowo. Skutkiem tego pianino — choć nieco mniej dźwięczne — zajmuje o wiele mniej miejsca i może się pomieścić nawet w szczupłym mieszkaniu.

W naszym stuleciu najdoskonalsze fortepiany i pianina produkowano w firmach: Pleyel (Francja), Bechstein, Blüthner (Niemcy), oraz Steinway (Ameryka).

Na koniec, aby wstępne słowa o narodowo-polskim kulcie dla pianistyki nie były bez pokrycia — przypomnijmy pokrótce historię owej gałęzi muzyki. Od wielu dziesiątków lat, wśród wielu sław na tym polu pierwszym blaskiem świeciły nazwiska Polaków. Paderewski, Michałowski, Śliwiński, J. Hoffman, A. Rubinstein — oto nasi rodacy, idący w światowej czołówce pianistów. Następców nie zabrakło, czego dowiódł ostatni Konkurs Chopinowski.

JERZY WALDORFF



Rys. J.B.S.

ZJEDNOCZONA EUROPA



TO NIE FANTAZJA. TAKIE WŁAŚNIE PRZEDZIWNIE KSZTAŁTY „STOJĄCEJ CHMURY“ WYCZAROWUJE NATURA.

RYCERZE „STOJĄCEJ CHMURY“

CZY wiesz, Czytelniku, co to jest „chmura stojąca“ i fala halniakowa? Można to szczegółowo wyjaśnić, używając niezbyt nawet skomplikowanych terminów, jak nakładanie się ruchu postępującego i drgającego, jak inwersja atmosferyczna itp.

Uwómy się jednak, że wiemy tylko tyle: kiedy wiatr-halniak o szybkości około 25 m/s natrafi na przeszkodę w postaci łańcucha górskiego, i kiedy równocześnie istnieje warstwa powietrza zimnego nie tylko nad, ale i pod warstwą cieplejszą — tworzy się „chmura stojąca“.

I co nam po niej? — zapytasz, Czytelniku. Spieszymy zatem z wyjaśnieniem: otóż zarówno w samej „chmurze stojącej“, jak i wokół niej, powstają silne prądy wstępujące, które umożliwiają szybownikom wznoszenie się na znaczną wysokość. Trochę to wszystko jest zagmatwane ale, jak twierdzą szybownicy, ciekawe i nader przyjemne.

Nasi szybownicy, zgrupowani na obozie w Jeleniej Górze, bardzo sobie tę chmurę oraz rozmaite „wały halniakowe“ chwalili. Pozwoliły im one, na wykonanie 43 przewyższeń ponad 3000 m oraz 6 ponad 5000. Zdobyto także 22 warunki do złotej odznaki szybowcowej i 4 diamenty.

Powie ktoś, że szybownictwo to istotnie

zawikłany sport, bo to i przewyższenia i warunki i nawet diamenty.

Zatem krótko wyjaśnimy te terminy: przewyższenie jest to wysokość uzyskana przez szybowiec, liczona od momentu odczepienia się od samolotu, który go wyciąga. (Wysokość liczą specjalne przyrządy, tzw. barografy). Do uzyskania srebrnej czy złotej odznaki szybowcowej, konieczne są pewne warunki jak: wysokość, przewyższenie, długość lotu lub jego czas, wszystko dokładnie określone. Diamenty zaś, otrzymuje pilot za wyczyny specjalne.

Na ostatnim obozie w Jeleniej Górze Polacy gościli znakomitych szybowników radzieckich: Mariejewę i Simonow. Goście z Kraju Rad, uzyskali wiele wspaniałych wyników i zawiazali serdeczną przyjaźń z polskimi sportowcami.

Aby być dobrym szybownikiem nie wystarczy — jakby ktoś sądził — dobre opanowanie maszyny i gruntowna znajomość meteorologii. Nie. Do sportu tego trzeba mieć specjalne zamilowanie i nerw.

W szybownictwie bowiem ten nerw i zamilowanie posiadają specjalną wagę, gdyż jest to sport niezwykle trudny i wymagający dużej odwagi oraz silnej woli.

Bo wyobraźmy sobie przez chwilę:

Wsiadamy do szybowca. Samolot wyciąga

nas na wysokość, powiedzmy tysiąca metrów, poczem odczepiamy się. Możemy znaleźć się w chmurze, na wysokości 7 tysięcy metrów, gdzie trzeba nałożyć maskę z tlenem, gdyż przebywanie na tej wysokości grozi śmiercią w przeciągu pół minuty!

A zimno? Czerdziesięć stopni poniżej zera — to nie żarty. Zmarzną Ci, drogi Czytelniku, ręce, mimo grubych rękawic. Przemarznieś cały do szpiku kości, mimo futrzanego kombinezона.

A spróbuj wpaść na szybowcu w chmurę gradową. Niech szybowiec zacznie opętańczyć taniec w powietrzu, niech ci grad wybijie szybę od kabiny i wychłosta po twarzy...

Mimo to, szybownictwo jest pięknym sportem, a polscy szybownicy dzielnymi pilotami. Wiele rekordów krajowych pobili po wojnie i pokusili się nawet o wyniki przewyższające rekordy światowe. Nazwiska Kempówny, Zientka, Góry, Brzuski czy Lucynki Wlazło znane są na całym świecie.

Najlepsi nasi piloci szybowcowi pracują także jako instruktorzy. Uczą młodzież, a właściwie swych rówieśników, (boć sami nie są starzy), pięknego sportu szybowcowego. Uczą ich jak pokonywać trudności, jak walczyć z naturą, jak zwyciężać.

ST. PIOTROWSKI



Szybownik polski Brzuska, jest posiadaczem rekordów międzynarodowych.



Zoja Mariejewna ustanowiła w Polsce kilka rekordów ZSRR.



Znany radziecki szybownik, Simonow, pokazał wysoką klasę pilotażu.

BRYLANTY I DOLARY

Sprawa zamordowania Rydz-Śmigłowej, wdowy po niefortunnym „wo-
dzu” sanacyjnej ery, nie została dotychczas wy-
świetlona. Wiadomo tyl-
ko, że w aferę zamie-
szone były różne oso-
bistości ze środowiska
reakcyjnej emigracji
polskiej, a ślady prowa-
dzą do gen. Andersa i
jego otoczenia. Emigra-
cyjny „Narodowiec” su-
geruje, że mordercy za-
interesowani byli w u-
sunieciu pewnych papie-
rów i dokumentów, znaj-
dujących się w posiadani-
u zamordowanej, a
kompromitujących sa-
nację. Czytamy w n-rze
286 tego pisma z dnia 4
grudnia r. ub.:

„Rydz-Śmigłowa była
najprawdopodobniej w
posiadaniu pamiętnika

wanie Pierackiego, za-
bójstwo żandarma Ko-
ryzmy, okoliczności to-
warzyszace samobójstwu
Sławka etc.). Pewne jest
jednak, że mordercy
Rydz-Śmigłowej nie po-
gardzili również łupami
nie-politycznymi. Świad-
czy o tym wykaz zrabo-
wanych Rydz-Śmigłowej
kosztowności, sporządzo-
ny przez Międzynarodo-
wą Komisję Policji Kry-
minalnej w Paryżu.

Dokument ten głosi:

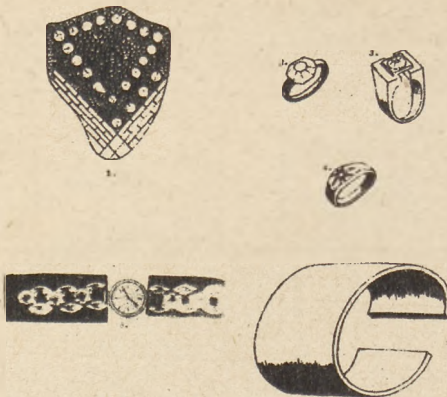
PRZEDMIOTY SKRADZONE

Przedmiot: różne kosz-
towności

Data kradzieży: 2-16
lipca 1951

Kraj: Francja.

Dn. 2 lipca 1951 r. pa-
ni Rydz-Śmigły znikła z
miejsc swego zamiesz-



Brylanty, platyna, złoto...

na, której kształt odcis-
nięty jest na aksamicie
szkatułki. Ponadto zra-
bowano torebkę, zawie-
rającą złote monety oraz
banknoty, głównie dola-
ry.

KRAINA MLEKIEM PŁYNĄCA

W sklepach tokijskich
coraz częściej usłyszeć
można taki dialog:

— Mleko? Zabrakło.

— Czemu?

— „Gorące Źródła” ma-
ją większe zapotrzebo-
wanie...

„Gorące Źródła” to nie
jest bar mleczny, ani pi-
jalnia mleka. „Gorące
Źródła” — Hot Springs
— to... luksusowa łaźnia
w dzielnicy Ginza w To-
kio. Pobudował ją kosz-
tem pół miliona dolarów
znany spekulant japoń-
ski Ujitoshi Konomi, któ-
ry dorobił się majątku
na operacjach czarno-
rynkowych. Klientami p.
Konomi i jego łaźni są

Jak widać, mordercy
nieźle się obłowili, a ich
ofiara miała jeszcze spo-
ro do przepuszczenia na
ruletce w Monte Carlo i
na narkotyki, których
używała nałogowo.

Lokal p. Konomi cie-
szy się olbrzymią frek-
wencją amerykańskich
gości. Zwłaszcza, że o-
prócz kąpielni (z obsługi
damską) posiada on sze-
reg innych urządzeń
„rozrywkowych”, gdzie
z kolei płynie szerokim
strumieniem alkohol.

Wobec licznych pro-
testów ze strony wzbur-
zonej opinii publicznej,
władze japońskie wdro-
żyły dochodzenie w celu
ustalenia, co dzieje się
za murami osobiwej łaź-
ni. Okazało się przy tym,
że p. Konomi uzyskał
przydział materiałów bu-
dowlanych i kredyty rzą-
dowe pod pretekstem, że



W „Gorących Źróżłach”

wyżsi i niżsi urzędnicy
amerykańskiej admini-
stracji okupacyjnej, tu-
dzież oficerowie i żoł-
nierze amerykańskiej ar-
mii.

No, dobrze, ale po co
tu mleko? Mleko jest
bardzo potrzebne. Albo-
wiem specjalnością „Hot
Springs” są kąpiele w
mleku. A także w cytry-
nowej lemoniadzie. Żoł-
nierze i urzędnicy ame-
rykańscy ogromnie w
tym smakują i piszą po-
tem listy do domu, że
„Japonia jest krainą
mlekiem płynącą”. Istot-
nie...

zamierza wzniesić „łaźnię
dla ubogich”. Jednakże
pan Konomi ma t.zw.
mocne plecy. Czemu
trudno się dziwić, zwa-
żywszy na rodzaj korzy-
stającej z jego usług
klienteli. Jakkolwiek
więc śledztwo ustaliło,
że „łaźnia dla ubogich”
drogą tajemniczej meta-
morfozy przeobraziła się
w luksusowy dom roz-
pusty — zakład nadal
działa bez przeszkód, a
akta dochodzeń powę-
drowały pod sukno.

...Dlatego dzieci ja-
pońskie muszą się od-
zwyczajać od mleka...

ŚCISŁOŚĆ INFORMACJI

Londyński „News
Chronicle” donosi:
„W Tybecie, albo w
Indiach Holenderskich,

albo w obu tych krajach
było wczoraj silne trzę-
sienie ziemi”.

SPROSTOWANIE:

W poprzednim numerze „ŚWIATA” w roz-
wiązaniu konkursu „ABECADŁO POLSKI
LUDOWEJ” podano mylnie przy literze W —
Wrocław, zamiast Wizów.

JANUSZ MINKIEWICZ

O METODACH

1.

Każdy dzieje zna Hamleta,
Który w Elsinore (Dania) —
Ni to dandys ni asceta —
Nieustannie miał wahania...

Gdy jał gonić w piętkę on już
(„Być czy nie być?...” „Nie być?... — szkoda!”),
Taki wydał sąd Poloniusz:
— W tym szaleństwie jest metoda!

2.

Szekspirowskie powiedzenie
Coraz mocniej się utrwała
W mojej głowie na wspomnienie
O szaleństwie Forrestala...

On był pierwszy — i, pomału,
Rozszerzyła się ta moda.
Choć to zwykły atak szału —
W tym szaleństwie jest metoda!

3.

Raz się zwraca tymi słowy
Adenauer do Mac Cloy'a:
— Pomysł strzelił mi do głowy:
Zeń się z córką mą. Jest twoja...

Mac Cloy, chociaż niezbyt wesół,
Bo ni wdziek to, ni uroda,
Pojął babę dla byznosu...
W tym małżeństwie jest metoda!

4.

Ze z historii miewał „dwójce”
I jej nauk nie zna, przeto
Truman

podbić świat próbuje
Według hitlerowskich metod...

Z hitlerami pokrewieństwo
Wzmaga każda taka próba.
W tej metodzie jest szaleństwo,
Zaś szaleńców czeka zguba!

SIÓDMY POWOJENNY STYCZEŃ STOLICY POLSKI

Dokończenie ze str. 10

już żyliśmy się, że gdyby nas zapytano, co nowego
zbudowano w Warszawie — to nie jeden by o niej
zapomniał przy wylczeniu. Bo to i trasy północ-
południe powstają (jedna na Pradze, druga w śró-
mieściu), bo to i Marszałkowska ciągle się przeobra-
za, nabierając „emdeemowskiego” oblicza, bo to
i Aleje i Krucza, bo to wreszcie i — METRO.

Nie zdążyliśmy zapomnieć „pontoniaka” czy wy-
sokowodnego mostu, który zmiotła dopiero wiosną
1947 roku powódź — a już schodzimy pod ziemię,
drążymy szyby, budujemy nowy kręgosłup nowej
Warszawy.

Otwieramy perspektywę na Warszawę nie tylko
jednej generacji — ale na Warszawę przyszłych po-
koleń.

„Uczyńmy wszystko — powiedział na Warszaw-
skiej Konferencji PZPR, Prezydent Bolesław Bierut,
— aby odbudowa i rozbudowa Warszawy stała się
dumą i chlubą każdego Polaka. Uczyńmy wszystko,
aby miasto nasze przodowało w wielkim dziele Pla-
nu 6-letniego, tak, jak kiedyś przodowało w walce
z hitlerowskim najeźdźcą.

To będzie wielki wkład naszego pokolenia w dzie-
ło budowy silnej, zamożnej, szczęśliwej socjalistycz-
nej Polski.

To będzie wielki wkład w dzieło budowy lep-
szego, szczęśliwszego świata — wkład godny boha-
terskiego ludu naszej ukochanej Warszawy”.

„Nie ma już polskiej kultury” — brzmiały butne,
złe słowa hitlerowskiego oficera. „Warszawa będzie
starta z powierzchni ziemi” — wołał szaleńiec
z Reichskanzlei. Warszawa odpowiedziała na to
imponującym zrywem, który, porywając jak przy-
słowiowe już dziś „warszawskie tempo”, kreśli no-
we plany, żłobi nową rzeczywistość.

Warszawa, której miało nie być, codziennie daje
dumną odpowiedź. Nauka polska, której miało nie
być, nie gdzie indziej, ale właśnie tu, w Warszawie,
odbyła swój kongres w roku ubiegłym. Warszawę
miała strawić wojna — a nie gdzie indziej, ale tu
właśnie obradowali przedstawiciele wszystkich na-
rodów miłujących pokój na wielkim Kongresie
w Domu Słowa Polskiego w 1950 roku.

Czyż nie stąd właśnie, z warszawskiego zagłębia
budowlanego na cały kraj ruszyła fala odbudowy?
Czyż nie tu stały się widoczne pierwsze zdobycze
pracy zespołowej? Czyż nie na doświadczeniach war-
szawskich projektantów, architektów i urbanistów
buduje się osiedla śląskie, Gdańsk podnosi z gruzów,
stawia Tychy i Nową Hutę — w przyszłości miasta
100-tysięczne?

Czego dowodzą choćby tylko te fakty wyżej przy-
toczone? Oto Warszawa — w 1945 roku miasto mar-
twoty, zgłiszcz i ruin, miasto gruzów i zniszczeń —
dziś stała się już żywą, coraz to bogatszą, zasobniej-
szą materialnie i w doświadczenia — stolicą naszego
Państwa.

MICHAŁ BRZESKI

OBJETS VOLÉS

Objet: Bijoux divers.
Date du vol: 2-16 Juillet 1951.
Pays: France.

Le 2 juillet 1951, Madame
RYDZ-SMIGŁA, épouse de son do-
micile à Cros-d'Utelle, a été volée
de son cabinet de toilette, par un
CROD-UTELLE, Alpes Maritimes
(France).

Laquelle a permis de constater
la disparition des bijoux sui-
vants appartenant à la défunte:

- 1°) Bracelet en platine, orné d'un
diamant de 2 carats, environ. Le
diamant est enroulé autour du
bracelet. Valeur approximative: 100.000 Frs.
- 2°) Bracelet en platine, orné d'un
diamant de 2 carats, environ. Le
diamant est enroulé autour du
bracelet. Valeur approximative: 100.000 Frs.
- 3°) Bracelet en platine, orné d'un
diamant de 2 carats, environ. Le
diamant est enroulé autour du
bracelet. Valeur approximative: 100.000 Frs.
- 4°) Bracelet en platine, orné d'un
diamant de 2 carats, environ. Le
diamant est enroulé autour du
bracelet. Valeur approximative: 100.000 Frs.
- 5°) Bracelet en platine, orné d'un
diamant de 2 carats, environ. Le
diamant est enroulé autour du
bracelet. Valeur approximative: 100.000 Frs.
- 6°) Bracelet en platine, orné d'un
diamant de 2 carats, environ. Le
diamant est enroulé autour du
bracelet. Valeur approximative: 100.000 Frs.
- 7°) Bracelet en platine, orné d'un
diamant de 2 carats, environ. Le
diamant est enroulé autour du
bracelet. Valeur approximative: 100.000 Frs.
- 8°) Bracelet en platine, orné d'un
diamant de 2 carats, environ. Le
diamant est enroulé autour du
bracelet. Valeur approximative: 100.000 Frs.
- 9°) Bracelet en platine, orné d'un
diamant de 2 carats, environ. Le
diamant est enroulé autour du
bracelet. Valeur approximative: 100.000 Frs.
- 10°) Bracelet en platine, orné d'un
diamant de 2 carats, environ. Le
diamant est enroulé autour du
bracelet. Valeur approximative: 100.000 Frs.

STOLEN

Subject: Various pieces of jewelry.
Date of theft: July 2-16 1951.
Country: France.

On the 2nd of July 1951, Mrs.
RYDZ-SMIGŁA disappeared from her do-
mestic in Cros-d'Utelle, and on July 16th
1951, her body was discovered at Cros-
d'Utelle, Alpes Maritimes (France). The
country reported of establishing the
fact that the following pieces of jewelry
belonging to Mrs. RYDZ-SMIGŁA were
missing:

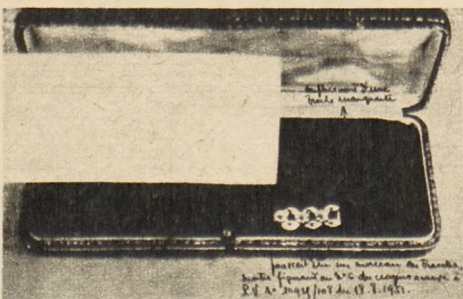
- 1°) Platinum chain, slightly perforated
with 27 round brilliant, 1/2 ct. on
a chain of brilliant and baguette
diamonds. Approximate value: 100,000
French Frs.
- 2°) Platinum ring with a solitaire of about
7 carats, slightly flawed, weight 7 grams.
- 3°) Solitaire ring, yellow gold, with a
brilliant of 1/2 ct., on a platinum chain
of 18 carats of gold and a gold of platinum.
Approximate value: 100,000 French Frs.
- 4°) Yellow gold ring with a small brilliant
on a gold chain of 18 carats.
- 5°) Gold chain bracelet, width 1 cm and 2 cm
thick.
- 6°) Gold chain bracelet, width 1 cm and 2 cm
thick.
- 7°) Bracelet, yellow gold, slightly perforated
with 27 round brilliant, 1/2 ct. on
a chain of brilliant and baguette
diamonds. Approximate value: 100,000
French Frs.
- 8°) Solitaire ring, yellow gold, with a
brilliant of 1/2 ct., on a platinum chain
of 18 carats of gold and a gold of platinum.
Approximate value: 100,000 French Frs.
- 9°) Yellow gold ring with a small brilliant
on a gold chain of 18 carats.
- 10°) Gold chain bracelet, width 1 cm and 2 cm
thick.

Whether the disappearance of a ring has
been reported which is a copy of French law,
it is not possible to find out. It is not possible
to find out. It is not possible to find out.

Wykaz kosztowności zrabowanych.

swego męża, w którym
ten ostatni spisał dzie-
je swego życia... Oprócz
tego mogła posiadać
pewne cenne papiery.
Czy komuś obecnie mo-
gło chodzić o te papie-
ry? Chyba tym, których
te papiery kompromito-

kania w Monte Carlo,
a dn. 16 lipca 1951 r.
zwłoki jej zostały znale-
zione w Cros-d'Utelle,
Alpes Maritimes (Fran-
cja). Dochodzenie wyka-
zało, że następujące kosz-
towności, należące do p.
Rydz-Śmigły, zaginęły:



Na aksamicie odcisnięty ślad bransolety i.

wały. Stoimy więc dale-
ko tajemnicy, o któ-
rej nikt tak szybko nie
zapomni, bo wskazuje
ona na stosunki przed-
wojenne i powojenne,
ważne dla oceny ludzi i
kół, które stały na naj-
wyższych stanowiskach”.

Być może więc, że
mordercy Rydz-Śmigłowej
sprzątnęli ofiarę i
papiery, o których mó-
wi emigracyjny pismo.
Byłoby to zupełnie w
stylu sanacyjnym (że
przypomnimy takie afe-
ry, jak zabójstwo gen.
Zagórskiego, tajemnicza
śmierć rotm. Zaćwil-
chowskiego, zamordo-

Poczem następuje wy-
kaz zrabowanych przed-
miotów obejmujący m.
in.: platynową broszę,
ozdobioną 27 brylantami
wartości ok. 700.000 fran-
ków, platynowy pierścień
z brylantem wagi 7 gra-
mów; sygnet złoty war-
tości ok. 150-180.000
franków; bransoletę zło-
tą szerokości 4 cm, gru-
bości 2 cm; zegarek zło-
ty na złotej bransolecie;
ciężką papierosnicę
z masywnego złota, z ini-
cjalami SR, ozdobioną
drogimi kamieniami, o-
patrzoną napisem „na-
szemu drogiemu mar-
szałkowi”; broszę owal-

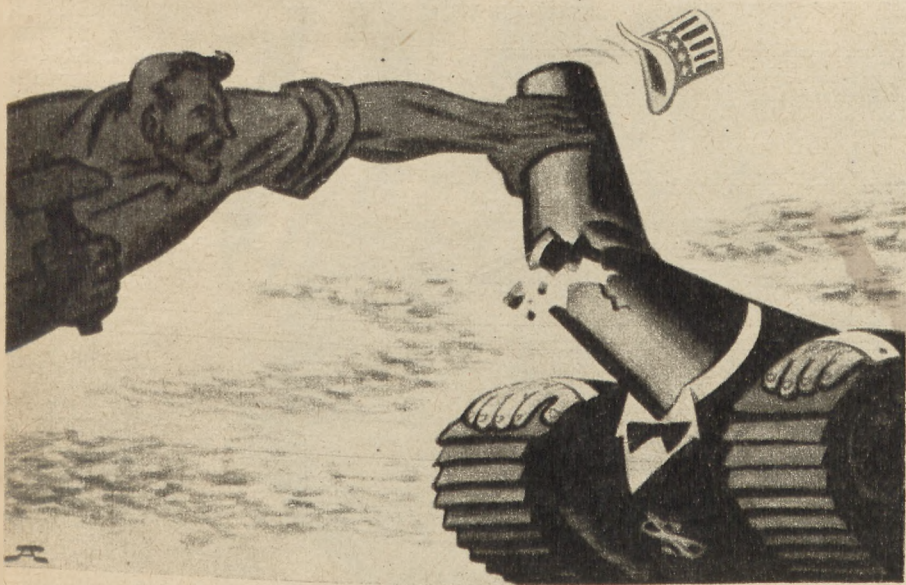
ROK 1951

w satyrze
międzynarodowej



„Cichy Don“

„KROKODYL“ ZSRR



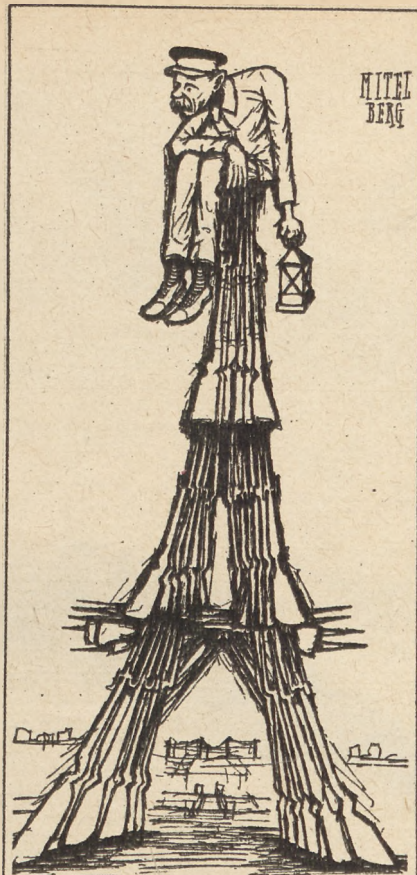
„UILENSPIEGEL“ HOLANDIA



„FRISCHER WIND“ NRD
Berlin wita młodych bojowników
o Pokój.

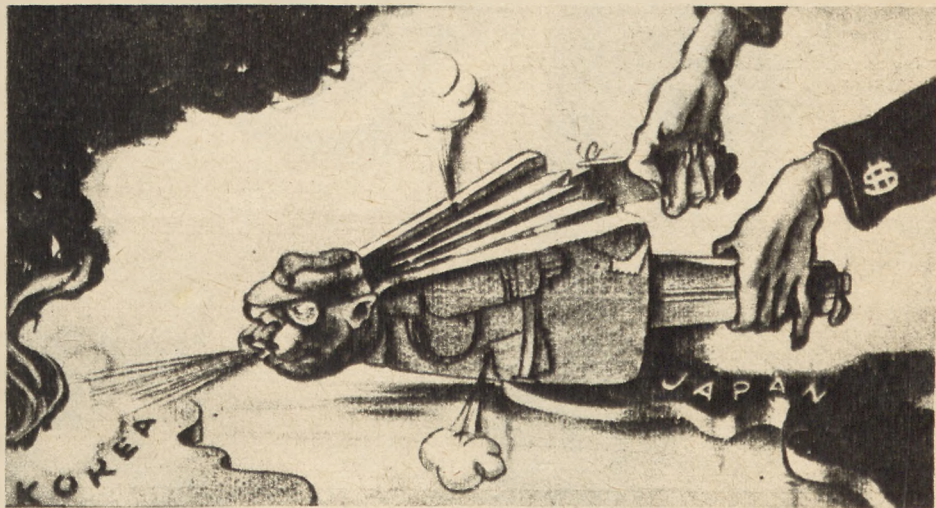


„DAILY WORKER“ W. BRYTANIA
Pakt „obronny“ Bliskiego Wschodu.
— My jesteśmy twoimi obrońcami, zrozumiano?!



„ACTION“ FRANCJA

Jeden z ministrów francuskich
oświadczył, że Francuzi żyją ponad
stan!...



Remilitaryzacja Japonii

„URZICA“ RUMUNIA



„DIKOBRAZ“ CSR

Tito nawiązał kontakt dyplomatyczny
z Adenauerem.



„SZPIŁKI“

„Narody ujmą w swe ręce sprawę
zachowania pokoju“.

SWIAT TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Te-
lefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala:
6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wilejska
12, tel. 7-52-50. Prenumerata i Kolportaż:
PPK „Ruch“, Odeział w Warszawie, ul.
Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumera-
ta miesięczna zł 4.80 — kwartalna zł 14.40,
półroczna zł 28.80, roczna 57.60. Należność
za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr
I-21040/110.

Zakłady Wkłoslodrukowe RSW „Prasa“,
Warszawa, Okopowa 58. 3-B-16607



AMERYKAŃSKA WOLNOŚĆ

rys. B. Prorokow — („Krokodyl”).